Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 10 października 1954 r. Nr 41 (463)

W NUMERZE: Janusz Stefanowicz: *Niepotrzebni ludzie*; Zdzisław Umiński: *If America slumps...* Wojciech Kętrzyński: *Eksperyment Mendès-France'a*; Emanuel Mounier: *Nadprzyrodzone i historia*; Bohdan Gębarski: *Rutheniana*; Andrzej Odnowa: *Nowe oblicze Gertrudy von Le Fort*; Wystawa grafiki radzieckiej; Mikołaj Bieszczadowski: *Cień Elizejskich Pól*; Andrzej Odolański: *Gerard Philipe*; Henryk Kmita: *„Cztery zbrodnie Katarzyny"*; Danuta Paszkiewicz: *Goa*.

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

HISTORIA PEWNEJ PRZYJAŹNI

JAK większość rzemieślników słowa lubię, gdy imiona ściśle przylegają do pojęć lub rzeczy, które nimi nazywamy. Właśnie dlatego wahałbym się awansować ten nawyk do rangi jakiejś szczególnej cnoty świadczącej o „umiłowaniu prawdy", nieskazitelnym charakterze itp. Przecież nie umiłowanie prawdy każe na przykład szewcowi cieszyć się z cholewy trafnie przylegającej do łydki klienta. W podobnym sposobie odczuwania kryło się źródło szewskiej pasji, którą przez dobrych kilka lat upływających od lipcowej rewolucji reagowałem na plakatowe slogany o przyjaźni polsko-radzieckiej.

Pasja moja była tym charakterystyczna, że ogarniała człowieka nie tylko najszczerzej przekonanego o odrodzeńczej wartości społecznego przewrotu dokonującego się w Polsce, nie tylko zapalczywie dowodzącego patriotycznych i socjalnych dobrodziejstw płynących z nowych związków z narodem stu narodów, lecz nadto żywiołowo podległego ogromnej fascynacji rosyjskiej kultury. Ostra świadomość historycznie nawarstwionych blizn i urazów między oboma narodami, o których mówił Stalin wiosną 1945 roku, a przede wszystkim szacunek dla treściowej zawartości „nowego", które między Polską a Związkiem Radzieckim rosło — wzbraniał mi kwitować zagadnienie terminem wyłuskanym z katalogu uczuć. „Przyjaźń" — to było za wiele i za mało jednocześnie. Ten odstający od mojej prawdy rzeczownik pozorował istnienie sentymentalnego napięcia, najzupełniej bagatelizując fundament rozumu, moralności i historycznego rozpoznania, na którym chciałem oprzeć konstrukcję mozolnie budowanych przekonań. W trosce o niezamąconą żadną barokową naroślą czystość jej linii używałem najchytrzejszych wybiegów, ażeby w publicznych wystąpieniach to określenie ominąć. Barok znieważony w tym stosunkowo błahym wydaniu — atakował ze zwielokrotnioną siłą tematycznie sąsiadujące odcinki wypowiadanych sądów. W gąszczu misternie kleconych aluzji i kołujących omówień zatracała się sama idea stosunków polsko-radzieckich, którą przecież najklarowniej pragnąłem wyrazić. Dziś, w okresie natarcia na bunkry publicystycznych i oratorskich uproszczeń widać jasno, że wina była pospólna. Moja, (bo cóż warta teza ideowa bez emocjonalnego zaplecza?) i jej stugłowej hydry schematystycznej konwencji. Przeżycie, które chcę opowiedzieć, nie stanowi bynajmniej jakiegoś zwrotnego momentu w moim życiu. Nie wierzę w ogóle w momenty, przestawiające losy lub przeświadczenia człowieka jak wagon tramwaju. Jedno ważne zdarzenie może najwyżej ujawnić lub zasygnalizować przemianę, która się już uprzednio dokonywała. Ono jej nie stwarza.

Zresztą moje spotkanie z Wasią należało do jeszcze innej kategorii zdarzeń. Nie zakończyło we mnie procesu dorastania emocji do przeświadczeń, unaocznio jedynie, że istnieją społeczne warunki, w których ideowe uogólnienia mogą być równie nieodzowną, organiczną, codzienną treścią odkich uczuć jak żona, księżyc, koledzy, trawa, jarzębina, czy napój.

Nie, Czytelniku. Nie potrzebujesz mi tłumaczyć, że odkrywałem Amerykę jako sto pierwszy Kolumb. Podobnie jak i Ty niejednokrotnie już przeżywałem tezy ideologiczne w kategoriach uczuciowych. Przewaga Wasi nad nami nie na tym polegała, że dla radzieckiego chłopca problem dorastania uczuć do pułapu świadomości politycznej w ogóle był pozbawiony sensu, myślał i kochał bowiem jednocześnie, co i nam się zdarza. Rewelacyjne było spostrzeżenie, że plan uczuciowy, na którym się u Wasi działy sprawy intymne, ojczyźniane i międzynarodowe, był identyczny. Czyż można sobie wyobrazić bardziej wstrząsającą przygodę? Tu właściwie mógłbym przerwać swoje opowiadanie bo to, co najważniejsze, już zostało napisane. Czuję się trochę jak ten pastor w powieści Duhamela, który nagabywany przez uczonych biologów o dowody na istnienie Boga zapłakał, a uczeni jęli się zastanawiać czy łzy w oczach pastora mogą być brane w rachubę jako... rzeczowe przesłanki. Wielkie wzruszenie, jakie odczuwam ilekroć myślę o tamtym naszym spotkaniu, to do tej pory jedyny dowód. Następnym będzie wiersz, jeżeli kiedykolwiek pióro udźwignie ciężar tego zdarzenia. Bo fakty są nieodrębne, zwyczajne. Kiedy je przywołuję z pamięci, zawsze odnoszę wrażenie, że do Zdarzenia mają się tak jak gładkie ściany ochronnego safesu w Instytucie Radowym do swej zawartości. Widzisz metalowy pancerz, a wiesz i czujesz: rad.

Wraz z uściskiem dłoni zamieniliśmy znaczki podczas pierwszej przerwy w obradach berlińskiej Konferencji Młodzieży Europy skierowanej przeciw EWO. Poła popielatej marynarki Wasi była już upstrzona świecącymi odznakami różnych delegacji jak przysłowiowa choinka. Wśród nich dominował order Bohatera Związku Radzieckiego. Sam bohater miał niedbale skrojone ubranie, mocno odstające uszy, grzywkę zasłaniającą pół czoła i najweselsze ze znanych mi oczu. Kiedy razem zwiedzaliśmy Poczdam zauważyłem, że najdziwaczniej w świecie obchodzi się z rondem, doskonałego nota bene, kapelusza, nasuwając je niemal na nos. W trakcie obrad naszej komisji był skupiony i surowy. Niedosłyszane w chwilach skrupulatnego notowania fragmenty przemówień musiałem mu tłumaczyć na gorąco. Wieczorem odwiedził pokój naszej delegacji w hotelu „Johannishof". Koledzy z delegacji i ja rozstaliśmy się z Wasią gdy majowy świt przystępował do ostatecznego szturmu na ciężkie kotary hotelowych okien. Nikt z nas nie mrużył powiek. Czuliśmy się jak po seansie. Po seansie światła.

Dzieje Wasi? Przeszłość: chłopięctwo w białym domku pod Woroneżem z ojcem, dwoma braćmi (wszyscy trzej polegli) i matką (znowu tam mieszka). Praca w zakładach samolotów, śmierć najdroższego przyjaciela, „dezercja" do armii udaremniona szczenięcym wiekiem i zapotrzebowaniem na fachowców Teraźniejszość: szoferka przy koparce w Stalingradzie, uczestnictwo w CK Wszechzwiązkowego Komsomołu, żona i córeczka we własnym czteropokojowym domu i każda wolna chwila poświęcona marzeniom snutym z matematyczną dokładnością i miłosnym zapamiętaniem. Chodzi o model wynalazku, który zredukuje do minimum elementy podwozia dla elektrycznego silnika. Wyobraźcie sobie rozum, męstwo, wierność, siłę, poczucie rzeczywistego współrządzenia stusiedemdziesięciomilionowym narodem w idealnym stopie z humorem, nieśmiałością, łagodnością, taktem i miłością do każdego człowieka równie namiętną w stosunku do córeczki jak do narodów Polski czy Francji.

Prawda, że trudno sobie wyobrazić postać jednocześnie emanującej te cechy? Mnie nie. Ja znałem Wasię.

Mikołaj Rostworowski

Współczesny drzeworyt chiński

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

KRAJ WSCHODZĄCEGO JUTRA

PO konferencji genewskiej, w której udział brali przedstawiciele Chin Ludowych z premierem Czou-En-lai'em na czele, reprezentując po raz pierwszy w tego typu międzynarodowych spotkaniach nowe Chiny, jeden z członków brytyjskiej Partii Pracy, Whyatt, powiedział na zakończenie przemówienia w Izbie Gmin: „Jeden czynnik przejawił się na konferencji genewskiej wyraźniej niż wszystkie inne, a mianowicie — bez względu na to, czy się to Amerykanom podoba, czy nie — Chiny wkroczyły obecnie na arenę światową".

Stwierdzenie to jest znamienne szczególnie z tego względu, że zostało wypowiedziane przez Anglika, czyli przez przedstawiciela kraju, którego polityka na Dalekim Wschodzie konsekwentnie od stu lat uniemożliwiała Chinom nie tylko „wyjście na arenę światową", ale gwałciła prawa tego kraju do suwerenności.

Począwszy od wojny „opiumowej", nie przynoszącej zaszczytu Anglii i stanowiącej tylko pretekst do kolonialnego podboju Chin, kontakt „Starego Świata" z „Żółtym Lądem" opierał się na podobnych zasadach jakie cechują stosunek bogacącego się lichwiarza do ubożejącego wyrobnika. Precedens angielski przyspieszył infiltrację w sprawy chińskie Stanów Zjednoczonych, Francji i Niemiec, które wspólnie dokonały podziału Chin i swych wpływów na poszczególne prowincje. W ten sposób ogromne państwo, sięgające swą kulturą do trzech tysięcy lat przed nar. Chr. i liczące w czasie swego nieoficjalnego rozbioru około pół miliarda mieszkańców, stało się łatwym łupem grabieżców. Kąsek był łakomy, dostęp doń ze względu na rozkładającą się monarchię mandżurskiej dynastii Tsing — stosunkowo łatwy. W krótkim też czasie cudzoziemcy uzyskali prawo budowy i wyłącznej eksploatacji przedsiębiorstw przemysłowych — kopalni węgla i żelaza, opanowali koleje, pocztę i telegraf. Dopełnił się tym samym paradoks kultury europejskiej, która pod pozorem cywilizowania historycznie starszej lecz społecznie zacofanej kultury chińskiej, ukazała Chinom najgorsze i najbardziej podłe oblicze białego człowieka.

Chiny w tym czasie były krajem, który wśród państw kapitalistycznych uchodził za miejsce dobrej lokaty kapitału. Był to bowiem kraj najsilniejszych kontrastów. Stanowiąc ogromny rezerwuar niewykorzystanych bogactw naturalnych, których zasoby wielokrotnie przewyższały znane i eksploatowane w innych krajach kopalnie węgla i rud, posiadając rozległe pola naftowe i wielkie możliwości elektryfikacyjne, równocześnie był to kraj niezwykle ubogi. Rolniczy jego charakter spełniał rolę tragicznego katalizatora dla zjawiska głodu, który w formie masowej fali, niczym zaraza, rokrocznie pochłaniał miliony ludzi. Rolnicy chińscy, stanowiący wówczas 80 proc. ludności, to przede wszystkim drobni użytkownicy poletek z ryżem i pszenicą, całkowicie uzależnieni od feudalnych obszarników. Dla rolników tych susza, wylew Żółtej Rzeki lub klęska szarańczy oznaczały powolną śmierć z głodu.

Stan ten odpowiadał państwom okupującym Chiny. Umożliwiał im bowiem łatwiejsze opanowanie kraju i zuchwalszą jego grabież. Wszelkie próby wydarcia się spod ich władzy były zwalczane siłą. Zostało więc zgniecione powstanie taipingów, organizacji chrześcijańskich, które walczyły w imię idei powszechnej równości i braterstwa, w imię stworzenia „Imperium Wielkiego Pokoju". Nie powiodła się akcja wyzwoleńcza bohaterskiego Sun Jat-sena. Niemniej jednak „Żółty Ląd" zaczęła rozsadzać wewnętrzna siła budzącego się narodu. Zasadniczą, decydującą zmianę mogła przynieść Chinom dopiero rewolucja społeczna i akcja wyzwoleńcza kraju od jego kapitalistycznych protektorów.

Od tej chwili, w której wielki, sześćset milionów liczący kraj wywalczył swą wolność, upłynęło zaledwie pięć lat. W warunkach chińskich należy tę liczbę jednak zwielokrotnić. Nie odpowiada ona bowiem przemianom społecznym kulturalnym zachodzącym od Mandżurii i Mongolii po Junnan i Tybet. W Chinach wszystkie fakty i sprawy mierzy się inną wartością, niż w krajach europejskich.

Mierzy się ją milionami. Nie chcąc być gołosłownym nie mogę pominąć paru faktów, które choćby ogromem liczb wywierać muszą wielkie wrażenie.

W oczach naszych tkwią jeszcze wspomnienia z akcji osiedleńczej na naszych Ziemiach Zachodnich, z akcji, którą uznaliśmy za sukces organizacyjny i gospodarczy. Albo przypomnijmy sobie okres parcelacji majątków obszarniczych i obejmowanie ziemi przez ludność dotąd bezrolną. Wyobraźmy sobie teraz rozdział ziemi, w którym nie uczestniczy milion ludzi, lecz 300 milionów chłopów, liczba obejmująca bez mała połowę ludności Europy!

Trudno określić, co jest bardziej imponujące — czy sprawność dokonującego się rozdziału, czy entuzjazm tych ludzi, którzy gospodarując dotąd na „obszarze" pół akra ziemi dokonywali cudów w walce z ziemią, głodem i wyzyskiem feudalnych panów. Rewolucja przyniosła tej ogromnej masie ludzi ocalenie, perspektywę rozwoju i urzeczywistnienie ideału, którego określenia brakowało w słowniku chińskiego chłopa i kulisa... mianowicie szczęścia.

Jest niemal paradoksalne, że ta wielka masa analfabetów znacznie lepiej zdaje sobie sprawę z siły współdziałania i współpracy sąsiedzkiej niż wielu teoretyków i mędrców rolnictwa w innych krajach. Świadczy o tym ogromny ruch współpracy i wzajemnej pomocy zorganizowany w czasowe i stałe brygady, które obejmują 48 milionów gospodarstw. Stąd jest już tylko krok do wyższej formy współdziałania, do spółdzielczości produkcyjnej.

Przemiany społeczne wydały już pierwszy plon w ilości zbiorów, we wzroście zaopatrzenia ludności w ryż, mięso i tłuszcz. W niedalekim czasie „kraj głodu" — jak nazywali Chiny burżuazyjni ekonomiści — produkować będzie około 360 milionów ton zbóż — to znaczy dwa razy tyle, ile wyniosą łącznie zbiory w Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Kanadzie i Australii.

W ubiegłym roku rozpoczęto w Chinach realizację pierwszego planu pięcioletniego. W planie tym, oprócz dalszego wzrostu produkcji rolniczej, zasadniczy nacisk położony został na uprzemysłowienie kraju. Trudno sobie wyobrazić, jak żyć i rozwijać mógł się przed 1949 rokiem kraj, którego globalna produkcja przemysłowa była niższa od produkcji Włoch w okresie ich depresji gospodarczej. Produkcja ta miała pokryć zapotrzebowanie kraju, liczącego 600 milionów ludności, w rzeczywistości wystarczałaby najwyżej dla utrzymania średniego poziomu konsumpcji i życia Jugosławii.

Dlatego też z pełnym uznaniem i podziwem należy odnieść się do tempa uprzemysłowienia kraju. W ciągu pierwszego pięcioletniego planu powstanie około 600 zakładów przemysłowych, rozrzuconych po całych Chinach. Z tego 141 największych obejmujących kopalnie węgla i rud, fabryki maszyn i elektrownie, budowanych jest przy pomocy Związku Radzieckiego.

Narodziny chińskiego przemysłu położyły kres opinii, rozsiewanej przez kapitalistycznych pośredników, agentów i spekulantów, którzy zamknąwszy swego kopciuszka do hermetycznego pudełka z herbatą, ukrywali go światu, mówiąc — Voila! Oto Chińczyk — człowiek, wzór pracowitości, któremu do życia wystarczy garstka ryżu, nic więcej!

Perfidia tego protekcjonalnego poklepywania po ramieniu chińskiego wyrobnika polegała na osobliwej konfrontacji nędzy i heroizmu, wyzysku i pracowitości. Dewiza: „nic więcej poza garstką ryżu" — oto było wszystko, co przez sto lat — od czasu wojny „opiumowej" do roku 1949 — ofiarowywała Chinom za ich herbatę, jedwabie, rudy, porcelanę, dzieła sztuki, za chińską mądrość i kulturę — kultura kapitalistycznej Europy.

Dlatego dzisiejsze przebudzenie tego olbrzyma, którego siły nie są jeszcze ujawnione i drzemią w perspektywie „wschodzącego jutra", nie jest przyjemne dla wielu ludzi zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. Budzi się bowiem wraz z 600-milionowym narodem sędzia, który swój wyrok dla kapitalizmu i jego kolonialnej polityki ujął już w formy dziejowej karty — w Konstytucji Chińskiej Republiki Ludowej.

Zbigniew Czajkowski

JANUSZ STEFANOWICZ

NIEPOTRZEBNI LUDZIE

DAWNIEJ jeszcze wśród pewnego odłamu naszego dawnego mieszczaństwa utrzymuje się wiara w legendę o uprzywilejowanej pozycji inteligencji w krajach zachodnich. Tworzyły ją przez lata powieści małej literatury mieszczańskiej, z „dobrze prosperującymi" bohaterami — adwokatami, lekarzami, rzadziej pisarzami, powieści Somerset Maughama o wygodnym życiu urzędników kolonialnych; tworzyły ją także zasłyszane opowiadania o znajomych, „którzy się wybili", a wreszcie — audycje rozlicznych a „wiarygodnych" radiostacji zachodnich. Legenda znajdowała podatny grunt w burżuazyjnych reliktach umysłu inteligenckiego, w tradycji — i rosła, rosła, wbrew najoczywistszym faktom. Bo fakty czerpać można całymi garściami. Dostarczyć ich może obraz życia inteligencji w każdym kraju zachodniej Europy. Posłużmy się więc faktami. Weźmy za przykład kraj, którego przywódcy śpiewają peany o „cudzie gospodarczym" i niezwykłej *prosperity:* Niemcy zachodnie.

NA PROGU ŻYCIA I WIEDZY

Okres studiów posiada zasadnicze znaczenie dla przyszłych losów jednostki, krystalizując jej intelekt, dostarczając wiedzy i przygotowania do samodzielnej pracy — no i sił koniecznych do jej wykonywania. Dlatego tak wiele zależy od warunków, w jakich młodzież studia te odbywa. To są truizmy. — Na to, żeby je znać nie trzeba być mężem stanu. Na to, żeby je zapewnić, nie trzeba „cudu gospodarczego". Ale tego zdania nie podzielają ludzie Anenauera. Wyręczmy się w tym miejscu prawicowym dziennikiem szwajcarskim „Neue Züricher Zeitung", który w numerze z 25 maja w artykule „Troski studenta niemieckiego" pisze:

Minimum egzystencji studenta (komorne, życie, przejazdy, ubranie, bielizna i higiena) waha się dziś w Republice Związkowej, zależnie od miasta, w granicach od 130 do 180 DM. Spośród studentów, których ilość na wszystkich wyższych uczelniach Republiki Związkowej wynosi ponad 100.000, zaledwie 12,2 proc. dysponowało w lecie 1953 roku kwotą 150 DM i więcej na utrzymanie. Ponad 50 proc. studentów nie osiągało dolnej granicy minimum egzystencji. Tylko 36 proc. mogło studiować w oparciu o wyłączną pomoc rodziców, 40 proc. zaś musiało przebijać się przez studia bez jakiejkolwiek pomocy ze strony krewnych. Okrągło 50 proc. studentów zarabiało własną pracą na swe całkowite lub częściowe utrzymanie; w szczególności zaś do pracy takiej zmuszonych było 40 proc. tych studentów, którzy rozpoczęli studia w r. 1953. Okrągło 60 proc. wszystkich studentów pracowało zarobkowo jeszcze przed rozpoczęciem studiów, ażeby zaoszczędzić sobie potrzebne im na pierwszy rok nauki pieniądze. Liczby te, pochodzące z lata 1953, mają i dziś pełne znaczenie... Tym sposobem powstaje proletariat studencki, którego oddziaływanie musi być w każdym systemie społecznym szkodliwe.

Komentarze chyba zbyteczne.

PRZYDATNI I NIEPOTRZEBNI

Traktowanie inteligencji jako całości jest uproszczeniem i błędem. Będąc pośrednio na ogół związana ze środkami produkcji, stanowi warstwę, a nie klasę. Zależnie od osobistych dyspozycji jednostki tej warstwy wiążą się z różnymi klasami. W ustroju kapitalistycznym, zależnie od kwalifikacji i przydatności, jednostki te są albo przydatne, albo niepotrzebne klasie panującej. Ta właśnie „przydatność" jest kryterium określającym los poszczególnego inteligenta. Tak też dzieje się w Niemczech zachodnich. Monopole i finansjera obdarzają swym mecenatem tylko te gałęzie wiedzy, których rezultaty badań mogą przynieść doraźne korzyści i największy zysk. Korzystają one także ze wsparcia amerykańskiego kapitału, finansującego seminaria i instytuty pewnych specjalności oraz laboratoria wielkich zakładów przemysłowych. Specjalnymi względami cieszy się również „socjologia" wykładana według wzorów amerykańskich, której teorie służą ideologicznemu przygotowaniu wojny.

A inni? Inni, to liczna warstwa umysłowego proletariatu: młodzi docenci i początkujący lekarze pracujący bez wynagrodzenia, literaci z głodowymi honorariami, bezrobotni muzycy i aktorzy, którzy muszą występować w roli statystów.

Proletariat umysłowy, to właśnie ludzie „niepotrzebni" w Niemczech zachodnich, którym nie warto zapewniać egzystencji — działalnością swoją nie wpisują przecież zysku do księgi głównej koncernów Tiessena czy Kruppa. Jakżeż gorzką ironią zabrzmi słowo „niepotrzebni", kiedy zobaczymy, że w kategorii tej mieszczą się trzy najniezbędniejsze chyba społecznie zawody: nauczyciela i naukowca, lekarza oraz prawnika. Przyjrzyjmy się kolejno ich położeniu.

Wynagrodzenie początkującego nauczyciela jest zawstydzająco niskie, nie sięga nawet przeciętnego wynagrodzenia niewykwalifikowanego robotnika. Po trzech latach studiów nauczyciel otrzymuje około 250 marek; po dwudziestu latach pracy osiągnąć może niewiele ponad 400 marek, tj. mniej niż otrzymuje fachowy pracownik fizyczny niezależnie od czasu pracy. Większość nauczycieli jest zadłużona. Ludzi tych gnębi zniechęcenie i stała troska o byt. Symptomatyczny wypadek opisuje „Aachen Nachrichten" z 6.VI.53.

Charakterystyczne światło na kierowników kulturalnych naszych czasów rzuca fakt przyznania woźnemu w szkole niewspółmiernie wyższego uposażenia niż młodemu nauczycielowi; któż może mieć za złe nauczycielowi z wyższym wykształceniem (jak to miało miejsce w Aachen), że ubiegał się o stanowisko szkolnego woźnego?

Nie lepsza jest sytuacja w szkolnictwie średnim, gdzie górna granica zasadniczego uposażenia na wysokim stopniu radcy naukowego wynosi 700 marek, przy czym wielu asesorów naukowych nie może całymi latami awansować z powodu braku etatów. W związku z tym daje się odczuć brak nowych sił — notuje się spadek liczby słuchaczy seminariów nauczycielskich o ponad 50 proc.

Podobnie dzieje się w szkolnictwie wyższym. Z pośród 6000 wykładowców zaledwie trzecia część zarabia 1000 marek miesięcznie jako profesorowie, reszta musi zadowolić się 200—250 markami w charakterze docentów i asystentów. Powoduje to — wraz z przeciążeniem pracą dydaktyczną — całkowity zanik badań naukowych. Wielu profesorów na uniwersytetach w Wurzburgu, Getyndze, Monastyrze, Marburgu, Kilonii i Freiburgu nie ogłosiło od 1945 roku żadnych nowych wyników swoich badań.

Głodny stróż prawa — oto określenie zachodnio - niemieckiego sędziego w „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 11.VI.53. Musi on wyżyć za 480 marek miesięcznie, by po wielu latach dosłużyć się 840 marek. Małe szanse na awans powodują, że najlepsi asesorowie przenoszą się do przemysłu lub na lepiej płatne stanowiska państwowe. Zresztą rola sędziego jest znikoma. Podany już dziennik pisze — *Mimo legendy o praworządności Niemiec zachodnich, sędzia stał się małym urzędnikiem wymiaru sprawiedliwości, a wyrokowanie — czynnością akordowo płatnego pracownika umysłowego.*

Najgorzej jednak przedstawia się sytuacja wolnych zawodów, z których najliczniejszą grupę stanowią lekarze. W Niemczech zachodnich jest ich okrągło 63 tysiące, z tego ponad połowa wolno praktykujących. Lekarze są uzależnieni w przeważającej mierze od wpływów z kas chorych, ale korzysta z nich zaledwie 32 tysiące. Charakterystyczne dla stosunków materialnych samodzielnych lekarzy jest zestawienie pracy i wpływów z praktyki w kasie chorych pewnego württemberskiego lekarza, omawiane na dorocznym zjeździe fachowym we wrześniu 1953 roku. Przy przeciętnym czasie pracy trwającym 13 godzin (w tym noc i święta) zarabiał on miesięcznie 220 marek. Wykwalifikowany robotnik zarabia natomiast 400 marek. Przeciętny dochód lekarza asystenta w szpitalu wynosi około 277 marek, to znaczy mniej, niż uposażenie listonosza. Cztery tysiące lekarzy pozostaje bez pracy, lub też musi zarabiać na życie w obcych zawodach.

Ten ponury — i bardzo typowy dla stosunków kapitalistycznych — obraz życia inteligencji zachodnioniemieckiej, tego legionu ludzi „niepotrzebnych", niepokoi pewne koła wielkiego kapitału.

Czy niepokój ten spowodowany jest troską o człowieka? Skądże. Szczerej odpowiedzi udziela przedstawiciel zachodnio - niemieckiego ciężkiego przemysłu, dr Josef Winschuh w „Industrierkurier" z 30.I. 54, pisząc:

Niektóre kategorie pracy umysłowej zdewaluują swą wartość wskutek nadmiernej podaży. Nadprodukcja pracy umysłowej zagraża w większym stopniu porządkowi społecznemu i wolności, niż jakakolwiek nadprodukcja przemysłowa. Akademicki proletariat był zawsze awangardą rewolucji... Niech sobie nikt nie wyobraża, że można mu pozwolić rozpleniać się żywiołowo.

Widmo „nadprodukcji inteligencji", naszkicowane tu na przykładzie Niemiec zachodnich jest nieodłącznym towarzyszem współczesnego kapitalizmu. O tej prostej prawdzie powinni pamiętać wszyscy, którzy wierzą jeszcze w legendę. A zarazem powinni uświadomić sobie rzucający się w oczy kontrast między tą nadprodukcją a stałym, nigdy w pełni niezaspokojonym zapotrzebowaniem na inteligencję w krajach demokratycznych.

Janusz Stefanowicz

B. Pascal
MYŚLI
str. 335 cena zł 32.—

Ks. prof. E. Dąbrowski
Glossy i odkrycia biblijne
str. 264 cena zł 25.—

Ks. M. Banach
Szli święci przez Polskę
Żywoty świętych i błogosławionych polskich.
str. 12 cena zł 15.—

Maria Zientara-Malewska i Wanda Pieńkowska
Rośnie do słońca
Zbiór reportaży warmijsko-mazurskich.
str. 248 cena zł 18.—

Wanda Chylicka
Ucieczka i powrót
str. 188 cena zł 15.—

Daniel Pezeril
Uliczka Notre-Dame
OOstr. 172 cena zł 12.—

Hanna Malewska
Przemija postać świata
tom I,II
str. 392 + 374 cena zł 30.—

Ks. Mieczysław Żywczyński
Kościół a Rewolucja Francuska
str. 72 cena zł 8.—

Dr Aleksander Rogalski
Katolicyzm w Niemczech po II wojnie światowej
str. 269 cena zł 20.—

Wysyła Biuro sprzedaży „PAX" W-wa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto P. K. O. I-8515/114 (z doliczeniem zł 3.— na koszt przesyłki).
Do nabycia we wszystkich sklepach „VERITAS U"

ZDZISŁAW UMIŃSKI

If America slumps...

ZNANY jest powszechnie fakt, że uzależnienie państw zachodnio - europejskich od wpływu USA, a zwłaszcza dostosowanie się do amerykańskiego programu militaryzacji powoduje katastrofalne zaburzenia w ich gospodarce.

Po pierwszej fazie planu Marshalla „pomoc", polegająca na dostawach towarów nie mogących znaleźć zbytu w USA, która miała gwarantować odbudowę gospodarczą, została poszerzona o eksport materiałów wojskowych. Po pewnym czasie plan Marshalla został zastąpiony przez *Mutual Security Aid,* tj. „pomoc" już czysto militarną. Podczas gdy w okresie do połowy 1950 roku wydatki na pomoc militarną stanowiły jeden procent, to w 1951 roku — po agresji w Korei — wzrosły one do 50 proc.; w czwartym kwartale 1952 r. osiągnęły one aż 280 proc. pierwotnej „pomocy ekonomicznej".

Wraz z rozszerzeniem zasięgu planu występującego pod nazwą *Mutual Security Aid* oraz rozwijaniem przemysłu zbrojeniowego w Europie zachodniej — w oparciu o działalność spółek mieszanych z przewagą kapitału amerykańskiego — nastąpiło w krajach zachodnio-europejskich załamanie produkcji w wielu gałęziach wytwórczości np. w przemyśle lekkim, rolnictwie itd. Spowodowało to ruch wsteczny w zakresie konsumpcji. To zaś obniżenie siły nabywczej ludności świadczy niezbicie o braku trwałej podstawy dla zwiększenia produkcji.

Omawiając możliwości produkcyjne Niemiec zachodnich dziennik „Berliner Zeitung" z dnia 13 marca br. przyznaje, iż *w stosunku do przemysłów koniecznych dla zbrojeń, przemysł konsumpcyjny rozwijał się znacznie wolniej.* Dalej dziennik ten pisze, że *konieczność przestrzegania polityki embarga USA zniszczyła istotne możliwości handlu zagranicznego.*

Zjawisko niewykorzystania możliwości produkcyjnych spowodowane nadmiernym zalewem rynku zachodnio-europejskiego towarami pochodzenia amerykańskiego dotyczy również innych krajów. Tak np. import Anglii ze Stanów Zjednoczonych w 1951 r., w porównaniu z 1938 r., zwiększył się o 1,85 a Francji — 3,43 razy, przy równoczesnym spadku eksportu. Zwiększenie tego nadmiernego importu spowodowało, jak już wykazaliśmy, zastój rodzimej produkcji, a tym samym powstanie znacznych niedoborów w bilansach handlowych krajów zachodnio - europejskich ze Stanami Zjednoczonymi. Jest to jeden z czynników powodujących spadek stopy życiowej ludności tych krajów. Wskaźnik płac realnych w Anglii w r. 1952, w porównaniu z 1947 r., spadł ponownie o 4 punkty. Wskutek obniżenia realnych płac — w grudniu 1952 r. 2,3 mil. Anglików nie mogło wykupić swych niewielkich, kartkowych przydziałów mięsa. Ogólnie biorąc w całej Europie zachodniej ludność odżywia się znacznie gorzej niż przed wojną. W Niemczech zachodnich obniżenie spożycia kalorycznego wynosi na jednego mieszkańca 8,8 proc. Nie lepsza sytuacja w zakresie pożywienia jest we Francji, gdzie obniżenie realnych płac w 1953 r. w porównaniu z 1938 r. wyniosło około 55 proc.

Ta sytuacja ekonomiczna przyczynia się równocześnie do wzrastania sprzeczności między poszczególnymi państwami zachodnio - europejskimi, które to sprzeczności — zwłaszcza po odrzuceniu przez parlament francuski układów o EWO — pogłębiają się jeszcze bardziej.

Kiedy w 1948 r. rząd boński przeprowadził dekret o deflacji wymieniając 100 dawnych marek na 6,5 nowych — Niemcy zachodnie nie tylko nie wpadły w depresję gospodarczą, ale stały się poważnym konkurentem dla eksportu Anglii i Francji. Finansiści ze szkoły Schachta utrafili na odpowiedni moment powstawania koalicji atlantyckiej, w której Amerykanie im właśnie wyznaczyli główną rolę. Reforma walutowa dokonana została oczywiście w interesie finansiery. Zmuszała bowiem robotników do zintensyfikowania czasu i tempa pracy, warunku niezbędnego dla zarobienia „dostatecznej" ilości nowych pieniędzy potrzebnych dla utrzymania się przy życiu. Od tego czasu Niemcy zachodnie — kosztem własnej klasy robotniczej wdarły się na rynki południowo - amerykańskie i Bliskiego Wschodu wypierając innych. Ten niemiecki *comeback* napotyka jednak obecnie na coraz większy opór ze strony zwłaszcza Anglii.

Wewnętrzna konferencja krajów zachodnich potęgowana jest jeszcze bardziej narastaniem coraz większych sprzeczności w samych Stanach Zjednoczonych. Początkowo tj. w okresie planu Marshalla, Amerykanie zamierzali osłabić własne trudności gospodarcze przez nadmierne forsowanie cywilnego wywozu, przy równoczesnym ograniczaniu importu towarów, których producentami były państwa zachodnio - europejskie. Stanowisko to wiązało się ze znanym hasłem: *Buy American.* W konsekwencji tej polityki ekonomicznej nastąpił spadek obrotów kontrahentów USA powodując przy tym zmniejszenie ich siły nabywczej, jako importerów. Dlatego można było uważać za zjawisko nieuniknione fakt, iż wartość wywozu cywilnego USA w r. 1952 w stosunku do roku poprzedniego zmniejszyła się o 1 miliard dolarów. Tak więc ów „głód dolarowy" *(famine of dollars)* występujący w krajach Europy zachodniej, a będący rezultatem niemożliwości zrównoważenia ich bilansów płatniczych w stosunkach z USA — spowodował w konsekwencji pewne zahamowanie cywilnego eksportu amerykańskiego do tych krajów.

Jednakże stratę tę przemysłowcy amerykańscy powetowali sobie zwiększając eksport zbrojeniowy, który całkowicie wyrównał spadek w eksporcie cywilnym.

Następnym krokiem, który jakoby ma uchronić USA przed kryzysem, jest militaryzacja. Ciekawe jest jednak, że obecna depresja, jaka zaczyna nurtować Stany Zjednoczone, dojrzewa właśnie w warunkach szczytowej militaryzacji tego kraju. Zjawisko to jest tym bardziej godne podkreślenia, iż wielu ekonomistów amerykańskich uważało, że militaryzacja kraju stanowi panaceum na pojawiające się trudności. Obecnie jednak ekonomiści ci mogą się łatwo przekonać — oczywiście o ile stać ich na obiektywny sąd — że wskutek narastających sprzeczności militaryzacja nie może być uniwersalnym środkiem łagodzącym przynajmniej nieuniknione zaburzenia natury ekonomicznej. Sama ona bowiem jest właśnie czynnikiem, który doprowadza do przyśpieszenia sprzeczności społeczno-gospodarczych, pogłębiając m. in. dysproporcje między zdolnościami produkcyjnymi a popytem ze strony ludności.

Sytuacja ekonomiczna państw zachodnio-europejskich może niewątpliwie ulec poprawie przez rozszerzenie wymiany towarowej z krajami socjalistycznymi. Kraje obozu pokoju niejednokrotnie dawały do zrozumienia, że gotowe są nawiązać takie stosunki handlowe, które by w pełni zabezpieczały interesy każdego z kontrahentów. Propozycje te złożone zwłaszcza przez Związek Radziecki spowodowały, że wiele krajów kapitalistycznych zawarło umowy handlowe z ZSRR i państwami demokracji widząc w tym jedyne wyjście z obecnego impasu gospodarczego. Ciekawa jest wypowiedź Harolda Wilsona, posła okręgu Huyton, w związku z debatą w Izbie Gmin w sprawie handlu między Wschodem a Zachodem. Wilson przeciwstawiając się amerykańskiej presji na Zjednoczone Królestwo stwierdził: *Istniało niebezpieczeństwo, że brytyjski przemysł i stan zatrudnienia padną ofiarą czczych względów politycznych i nastawionej na blokadę mentalności tych ludzi w Ameryce i gdzie indziej, którzy mają skłonność do myślenia o problemach świata kategoriami krucjaty przeciwko komunizmowi.*

Wypowiedź Wilsona jest znamienna. Świadczy ona, że coraz więcej ludzi w Europie zachodniej zaczyna sobie zdawać sprawę z ujemnych skutków „współpracy gospodarczej" z USA. Niemałe znaczenie ma tu również obawa niektórych ekonomistów burżuazyjnych przed skutkami załamania się koniunktury Stanów Zjednoczonych, co m.in. jeszcze bardziej przyczyniłoby się do ograniczenia i tak już niewielkiego eksportu do strefy dolarowej. W związku z tym „The Economist" z dnia 28 marca br. w artykule pt. *„If America slumps"* stwierdza, iż w przypadku załamania się koniunktury gospodarczej w USA powinien być podjęty wspólny wysiłek krajów „niedolarowych", aby uniknąć zmniejszania wzajemnych obrotów handlowych jedynie z powodu braku dolarów. Ta obawa przed trudnościami gospodarczymi, jakie grożą krajom zachodnio-europejskim, wskutek uzależnienia ekonomicznego od USA, znalazła również swoje odbicie w pewnych decyzjach natury politycznej. Poza stanowiskiem Anglii zdążającej, jakkolwiek nie bez pewnych oporów, do porozumienia gospodarczego z Chinami Ludowymi — Francja jest najlepszym tego przykładem.

Kraje zachodnio europejskie stają przed koniecznością powzięcia niezwykle ważnej decyzji. Prawicowy „Le Monde" nazywa to *Godziną prawdy.* Dziennik ten w numerze z 1 września br. pisze: *Nie jest jeszcze za późno, by powstrzymać fatalny wyścig zbrojeń, wyprostować krzywizny paktu atlantyckiego, postarać się o zdrowsze i solidniejsze podstawy dla stopniowej reorganizacji Europy.*

W związku z tą wypowiedzią prawicowego „Le Monde" coraz bardziej wydają się uzasadnione obawy „The Economist" — w przypadku gdyby obecny stan zależności gospodarczej od USA miał w dalszym ciągu pozostać — zawierające się w tych trzech słowach: „If America slumps". Obawy te mogą być jednak przekreślone, jeżeli kraje Zachodu uwolnią się od swego amerykańskiego „sojusznika".

Zdzisław Umiński

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

EKSPERYMENT MENDÈS-FRANCE'A

BIEG kolarski dookoła Francji, słynny „Tour de France", jest największą i najpopularniejszą francuską imprezą sportową. Pewien dziennikarz, śledząc przebieg tych rozgrywek przeprowadził małą ankietę na temat — „o kim na trasie najwięcej się mówi". Okazało się, że w czasie tegorocznego wyścigu dwa nazwiska były na ustach wszystkich: nazwisko leadera wyścigu — Bobeta, oraz nazwisko nowego premiera Francji — Mendès-France'a.

Istotnie, zarówno we Francji, jak i poza jej granicami, objęcie władzy przez młodego radykała Mendès-France'a wywołało kolosalne poruszenie. Rzeczywiście, ostatnie kolejne rządy nie przyniosły Francji honoru i stopniowo narastała wśród najszerszych kręgów francuskiej opinii publicznej fala gniewu i oburzenia. Końcowy okres rządów Laniela był już tylko tragicznym epizodem kompromitacji na rynku wewnętrznym i zagranicznym. Gdy więc na arenie politycznej znalazł się człowiek nowy, energiczny, nie obarczony jeszcze hipoteką bądź to nieudolności, bądź to korupcji, bądź służalczości wobec obcych interesów — odruch entuzjazmu stał się powszechny.

„Móc wreszcie nie wstydzić się swojego rządu — cóż za ulga!" — wzdycha na tę wieść publicysta znanego nam miesięcznika „Esprit". Paryski korespondent londyńskiego „Times'a", tego dziennika o legendarnej powściągliwości, pisze o „nieoczekiwanym zwrocie fortuny", zaś jeszcze bardziej zasadniczy w tonie tygodnik „Economist" odwołuje się do poetyckiej metafory o „narodzinach dziewczynki, której na imię — Nadzieja".

Kimże jest ów człowiek o tak wielkiej renomie, o egzotycznym nazwisku, łączącym w jedną całość nazwiska dwóch wielkości literackich Francji przełomu XIX i XX wieku — poety Catulle Mendès i pisarza Anatola France'a?

Piotr Mendès-France ma dziś lat czterdzieści siedem, to znaczy jak na stosunki francuskie, iż jest młodzikiem, gdyż w tym kraju poważna kariera polityczna zaczyna się zazwyczaj koło sześćdziesiątki. Mimo młodego wieku Mendès-France ma już za sobą wcale poważną karierę polityczną. W drugim przedwojennym gabinecie socjalisty Leona Bluma pełnił w roku 1938 funkcje podsekretarza stanu w Skarbie. Miał więc wówczas lat trzydzieści jeden i był najmłodszym z członków rządu. Musiał być zresztą do takiej sytuacji przyzwyczajony, gdyż, jak się okazuje, gdy ukończył prawo — był najmłodszym adwokatem w Paryżu; gdy został wybrany w departamencie Eure — był najmłodszym we Francji deputowanym.

Mimo swej specjalności adwokackiej już przed wojną uchodził Mendès-France za wybitnego ekonomistę i w latach 1936—1939 piastował godność przewodniczącego Komisji Ceł we Francuskiej Izbie Deputowanych. Zapewne był wówczas najmłodszym przewodniczącym Komisji!

POD POLSKIM NAZWISKIEM

Wojna dla Mendès-France'a zaczęła się dramatycznie. Nie poszedł on w ślady przywódcy radykałów Daladiera, nie poparł ugody w Monachium, nie poszedł na lep frazeologii marszałka Petaina. Po kapitulacji znalazł się w Afryce Północnej z tymi, którzy pragnęli z kontynentu afrykańskiego prowadzić dalszą walkę. Zaaresztowany przez władze Vichy został przewieziony do Francji i skazany na sześć lat więzienia — pod zarzutem dezercji w czasie wojny. Po dramatycznej ucieczce z więzienia, przebywaniu w konspiracji i przedzieraniu się do Anglii przez Hiszpanię pod polskim nazwiskiem — dociera w 1942 roku do generała de Gaulle i staje na czele grupy lotnictwa bombowego „Lorraine". Szybko jednak powraca do zadań ekonomicznych, przygotowując plany gospodarczej odbudowy Francji, zawierając układy monetarne z Anglią, obejmując wreszcie w rządzie tymczasowym w 1944 roku tekę ministra Gospodarki Narodowej. Nie na długo zresztą, gdyż jego polityka gospodarcza, surowa i oszczędna, zyskała mu wielu przeciwników. I musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska. Wówczas to po raz pierwszy starł się z René Plevenem, ministrem wojny w gabinecie Laniela, dziś jednym z jego najzagorzalszych wrogów.

Trzeba było pogłębiającego się kryzysu ogólnopolitycznego, by nazwisko Mendès-France znów wyszło na powierzchnię życia politycznego. Po upadku gabinetu René Mayera w maju 1953 nastąpił długotrwały kryzys gabinetowy. Czterech kolejnych kandydatów zostało przez Izbę Deputowanych odrzuconych. Wówczas to prezydent Auriol zwrócił się do młodego deputowanego radykalnego. Opinia publiczna przyjęła kandydaturę Mendès-France'a z takim entuzjazmem, że „stara gwardia" zmobilizowała wszystkie siły, by odepchnąć niebezpiecznego konkurenta. W głosowaniu Mendès-France otrzymał 301 głosów przeciw 319; zabrakło mu do kwalifikowanej większości trzynastu głosów. Te trzynaście głosów zadecydowały o tragicznym dla Francji okresie, jaki stworzył rząd Laniela, rząd klęski pod Dien Bien Fu w 1954 roku.

WYBÓR „NIECO NIEOCZEKIWANY"

Gdy, po upadku rządu Laniela, Mendès-France ponownie postawił swą kandydaturę przed forum Izby Deputowanych, panowało powszechne przeświadczenie, iż znów zabraknie mu głosów. Prasa francuska niemal bez wyjątku dawała pesymistyczne prognostyki. Sądzono też, iż prezydent Coty, idąc za radą parlamentarnej „starej gwardii", wysunął na początku kryzysu kandydaturę deputowanego z Eure, by zmieść przeszkodę z drogi dla Ridault, który się na serio szykował do objęcia rządu po Lanielu i do szybkiego powrotu na konferencję do Genewy.

Lakoniczny „Times" nazwał wybór nowego premiera „nieco nieoczekiwanym", co najwidoczniej miało oznaczać wielką niespodziankę dla tej, zazwyczaj dobrze poinformowanej, redakcji.

Rozpoczął się dla Francji okres „eksperymentu Mendès - France'a". Przed nowym premierem piętrzyły się zadania niesłychanie trudne. Po klęsce militarnej w Indochinach trzeba było prowadzić do skutku rokowania pokojowe w Genewie na przekór naciskom amerykańskim. Trzeba było ratować Francję przed

NADPRZYRODZONE I HISTORIA

EMANUEL MOUNIER

PEWIEN obraz ewangeliczny pozwala nam uchwycić w zbliżonym świetle strukturę działania nadprzyrodzonego na ustrój doczesny. To obraz drożdży winnych, kwasu chlebowego oraz soli. Niektórzy ludzie patrzą z nostalgiczną tęsknotą lub rozpaczą, stojąc na uboczu, na ostatnie pozostałości średniowiecznej społeczności chrześcijańskiej. Należałoby się zastanowić, czy to cielesne królestwo, które stało się pokusą dla ery chrześcijańskiej, tak jak niegdyś było pokusą dla ludu żydowskiego, nie powstało w oparciu o zniekształcone wyobrażenie obecności Ducha Świętego w historii. Teoretycy chrześcijańskiej społeczności narodów podległych władzy papieża oraz cesarza wierzyli, że wiara nakazuje im organizowanie świata w Bogu. Ale problemem, jaki staje przed nami, jest rozsądzenie, czy zdezorganizowanie świata w Bogu nie jest co najmniej równie ważne, a bardziej zgodne z nauką ewangeliczną. Rozumiem przez to uczynienie tego świata przezroczym dla Boga, gdy nieuniknione obciążenia związane z jego urządzeniem, bezustannie Boga przesłaniają. Należy zarządzać dobrami doczesnymi, lecz równocześnie trzeba się strzec przed zatraceniem natchnienia ożywiającego to zarządzanie. Czytając w tym świetle historię widzimy, jak cała przeszłość chrześcijaństwa objawia się nam w niej, nabierając pełnego znaczenia. Chrystus nie sporządził systematycznego wykazu nowych pojęć chrześcijańskich idei stworzenia, natury nadprzyrodzenie uporządkowanej, grzechu, odkupienia itd., które miały dokonać w świecie przewrotu. Rzucił je tylko przed oczy rozsądku skażonego, który zatrzymał się u ich wrót, niecierpliwie czekając tuż za progiem. Lecz filozofia, co znalazła pokarm i zdrowie dzięki Objawieniu, przyjmując je pozostaje nadal filozofią i to nawet pełniej i doskonalej niż przedtem, gdyż otrzymuje pomoc ze strony Ducha Świętego. Dzięki zaś nieprzerwanej ciągłości, która pozwoliła na zgromadzenie w niej całego dziedzictwa antycznego, filozofia ta przyjęła, ogrzała i rozwinęła do pełnej dojrzałości nowe zarodki. Święty Ireneusz mówił o boskiej pedagogii. Od tego czasu nieraz mówiono o Bożej d y s k r e c j i*). Nieobjęte milczenie trwające poprzez całą historię; natchnienie działające od wewnątrz, delikatnymi dotknięciami i pozostawiające całkowicie wolne pole temu wszystkiemu, co ludzkie; cierpliwość w odniesieniu do wszystkich zboczeń i nawrotów oddzielających natchnienie od wyniku — oto jak przedstawiają się owe drogi, nie będące naszymi drogami.

Szczególny rodzaj natchnienia chrześcijańskiego, zawsze dyskretnego i ukrytego, ukazuje się jeszcze wyraźniej w ambiwalencji, z jaką przemawia ono do naszego umysłu czy woli; przekazuje ono Słowo Boże istotom obdarzonym pełną wolnością; nie może więc przełożyć go na język całkowicie oczywisty dla człowieka, gdyż nie byłoby to już wtedy Słowo Boże i gwałciłoby naszą wolność. Przemawia zatem tak, że oświeca tych, którzy poszukują światła, a — zgodnie z potężnym skrótowym sformułowaniem świętego Pawła — pogrąża w ciemności tych, którzy światło odpychają. Pewne sekty ewangelickie usprawiedliwiały rozprzężenie obyczajów tymi samymi tekstami, które prowadziły innych wiernych na szczyty heroicznej czystości. „Oddajcie cesarzowi..." — służyło kolejno teokracjom i zasadzie rozdziału Kościoła od państwa, autokracjom i demokracjom. Przykłady takie można by mnożyć w nieskończoność. Egzegeta laicki napisał książkę na temat „dwu moralności Ewangelii". Powinien by zaopatrzyć ją bardzo długim tytułem na modłę dawno minioną: „Dwie moralności, które odbijają posłannictwo ewangeliczne w zależności od tego, czy patrzymy na nie wzrokiem ducha, czy wzrokiem ciała, zgodnie z wolnością, z jaką przystoi, by posłannictwo Boże mogło być przyjęte przez wolnego człowieka". Orzeczenia dyscyplinarne Kościoła powodują tę samą dwuznaczność rozumienia mimo ścisłości swych sformułowań: wykorzeniając jedną herezję przygotowują już następną, która znajdzie dla siebie w nich pokarm. Potępienie liberalizmu pobudzi jednych do znalezienia dla wolności głębszych perspektyw, innych zaś popchnie ku arbitralnym systemom politycznym. Wysuwanie tu zarzutu niewystarczalności stanowiska chrześcijańskiego byłoby zasadniczym nonsensem: jeżeliby nie pozostawiało ono możliwości błędu, przestałoby również dawać możliwości zbawienia, gdyż wyszłoby poza sferę wolności.

Inny aspekt tej ambiwalencji — to sposób, w jaki chrystianizm działa poprzez te właśnie prądy, które mu się przeciwstawiają. Tu również jesteśmy na płaszczyźnie dialektyki porozumiewania się pośredniego. Bóg nie udziela się w pełni poprzez żadne imię, żaden gest ludzki. Niektórzy spotykają go na drodze jakichś afirmacji zawierających pewną analogię: to wierni; inni, jak niektórzy mistycy, na drodze negacyj spowiniętych w miłość nieskończoną; inni wreszcie na drodze pozornej negacji, której towarzyszy pozorna wrogość, nieraz będąca w swej istocie tylko negacją bałwochwalczych wyobrażeń Boga lub też odmową faryzejskiej wierności: to ci ateusze, którzy głosząc się ateuszami żyją jednak dobrą wolą w teologicznym znaczeniu tego słowa i nadając Bogu inną nazwę czynią Go w rzeczywistości celem swego życia. Ta pośrednia przynależność do ciała Kościoła nie chroni ich bynajmniej od bałwochwalstwa i faryzeizmu w ich własnym rozumieniu Boga, tak jak nie są od nich bezpieczni chrześcijanie nominalni. Mniej pełna świadomość nie jest nigdy lepsza od pełniejszej. Lecz ów szczep dający życie powoduje, że oni, ci antychrześcijanie, odegrali swoją rolę w rozwoju cywilizacji natchnionej przez chrystianizm. Można by napisać całą historię o płodności ateizmu dla rozwoju świadomości chrześcijańskiej, a przede wszystkim — w zakresie związanym z naszym tematem — o sposobach, jakimi ateizm w swojej działalności publicznej przekazuje chrześcijańskie soki żywotne. Znane są jego zasługi dla rozwoju nauk; rozwoju wolności obywatelskich i sprawiedliwości społecznej. Przypomnijmy sobie, że z ust samego Chrystusa wiemy, iż na Sądzie Ostatecznym wielu ludzi ze zdumieniem dowie się, że dokonali w Chrystusie dzieł, o których sami nigdy nie sądzili, by miały z Nim cokolwiek wspólnego. Bez wątpienia losy tych odstępczych idei źle się niekiedy kończą. Lecz cywilizacja zwana chrześcijańską również nie zawsze szła właściwymi drogami. Mówić zaś, że „idee chrześcijańskie zostały zamienione w niedorzeczność", to dawać sobie zbyt łatwą satysfakcję. Idee chrześcijańskie stają się czasami niedorzeczne we własnym domu, nie będąc wyniesione na zewnątrz. Zdarza się też niekiedy, że znajdując się daleko poza swoim terenem są tam tak właściwie przycięte, tak są silne i tak dobry otrzymują pokarm, że przez długi czas nie zdradzają żadnych oznak osłabienia spowodowanego przesadzeniem. Być może, zdarza się też niekiedy, że Bóg, znużony ospałością swoich wiernych, daje bezpośrednio te idee poganom, tak świeże, jak były w pierwszym dniu stworzenia. Byłoby to dla nas nazbyt wygodne, gdyby ateizm automatycznie cechowała głupota.

Posłannictwo chrześcijańskie, nie będąc nigdy oczywiste w swoich wskazaniach praktycznych, rzadko również przychodzi w porę. Często wyprzedza historię, tak że dopiero znacznie później szy okres wydobywa płynące zeń konsekwencje; tak na przykład w nieznacznej jedynie części zostały wykorzystane skutki formalnej negacji różnic pomiędzy klasami, stanami, rasami i narodami. Ojcowie apostolscy pod bezpośrednim wpływem posłannictwa ewangelicznego rozwijają koncepcję historii, którą na kilkanaście wieków miało pozbawić siły oddziaływania wyobrażenie cywilizacji w ruchu, przesiąknięte silnym wpływem umysłowości antycznej; owo pojęcie historii twórczej dopiero w XIX stuleciu miało uzyskać skuteczny wpływ na rozwój pojęć historycznych. Prawo rzymskie nie zostało dotychczas pokonane przez uduchowioną zasadę wywłaszczenia. Odwrotnie zaś, chrześcijaństwo często jest opóźnione w dziedzinie politycznej i społecznej. Ci, co ulegając przesądom, które nazbyt długo trzeba by przypominać, twierdzą, że chrystianizm był zawsze siłą „reakcyjną" — zbliżają się do prawdy niezaprzeczonej w odniesieniu do znacznej części jego historii. Zdarza się również, że chrystianizm jednocześnie i wyprzedza, i opóźnia się. Tak na przykład sformułowania w jakich często wyrażano potępienie liberalizmu na początku XIX stulecia, zapoznawały dojrzałe już zdobycze w zakresie rozwoju świadomości rozumowej i naukowej, lecz równocześnie wyprzedzały o sto lat laicką krytykę racjonalizmu i wiedzy oraz krytykę społeczną bezwarunkowej wolności. Tak więc chrystianizm będąc zawsze aktualny w swojej istocie, nie dostosowuje się nigdy do biegu wydarzeń historycznych. Bez wątpienia byłby zaś z nimi równoległy, gdyby utrzymywał się na płaszczyźnie faktów cywilizacyjnych. To, iż tak rzadko jest na czasie, pozwala przypuszczać, że jego zegar nie bije równolegle z naszym. Fizycy nauczyli nas, że różnice zegarów mają wielkie metafizyczne znaczenie.

Chrystianizm historyczny wreszcie chętnie wyraża się w czynnym paradoksie. Uświęca małżeństwo, błogosławi rodzinę i zaleca płodność. Należałoby się zatem spodziewać, że jego słudzy będą tu dawać przykład. Miast tego (mówię tu o katolicyzmie) Kościół nakazuje im celibat i śpiewa hymny na cześć dziewictwa. Zdrowy rozsądek się zżyma. Lecz rozsądek głębszy niż zdrowy rozsądek czuje, że małżeństwo i rodzina wówczas tylko wolne są od zwierzęcości, gdy sprawy ciała poddane są dyscyplinie duchowej, i dobrze jest, aby istniały wzory w postaci ludzi, którzy w najwyższym stopniu ją zachowują. I bez wątpienia — wbrew wszelkiej logice — właśnie celibat chrześcijański w ciągu całej historii utrzymywał, poprzez jakąś tajemniczą łączność, płomień rodziny chrześcijanskiej. Inny przykład paradoksalnego pośrednictwa: to zakonnicy ludzie, którzy usunęli się od świata, odbudowali w średniowieczu świat europejski, zaludniony i twórczy; to ludzie oddani kontemplacji przeprowadzili ogromną pracę wykarczowania i wyekwipowania naszej zachodniej cywilizacji.

Ten bilans sam mówi za siebie i pełen jest znaczenia. Musieliśmy je już sugerować w ciągu poprzednich rozważań, gdyż wyzierało ono spod faktów. Te okrężne drogi, podstępy, ambiwalencje, negacje, paradoksy będące obrazem wpływu idei chrześcijańskich na planie cywilizacji — to znaki, po których filozof poznaje istnienie rzeczywistości usiłującej znaleźć dla siebie wyraz na planie innej rzeczywistości, w stosunku do której jest transcendentna. To, co wiemy o absolucie Wcielenia, nie pozwala nam na wyprowadzenie wniosku, że chrystianizm nie ma nic wspólnego z cywilizacjami. Lecz ich wzajemne stosunki — skomplikowane i niesprawdzalne do bezpośredniej, przebiegającej w prostej linii przyczynowości — przypominają nam, że bezpośrednim celem chrystianizmu nie jest dzieło tworzenia cywilizacji, choć ma ją ono całą doprowadzić do zbawienia. Obecnie doszliśmy do punktu, w którym możemy sprecyzować klimat teologiczny naszego tematu.

Do obowiązków Kościoła nie należy utrzymywanie ładu w państwie, właściwy rozdział dóbr ani zapewnienie jak największego szczęścia, jak największej liczbie ludzi. Kościół — to społeczność żyjąca w Chrystusie. Obowiązkiem Kościoła jest podtrzymywanie tego życia, ofiarowywanie go każdemu człowiekowi przychodzącemu na ten świat oraz doskonalenie go pod kątem jego spełnienia w Ciele Chrystusa — szczytowej chwale ludzkości. Kościół nie jest sam w sobie ani nauczycielem filozofii, ani strażnikiem społeczeństwa, ani szafarzem bogactw, ani ogniskiem kultury, ani ośrodkiem działań; ani — tym bardziej — potęgą ziemską czy akademią nauki. Pierwsi chrześcijanie, podróżnicy bez bagażu, widzieli to może nie jaśniej od nas, ale bardziej szczerze i po prostu lub też bardziej swobodnie. W ciągu dwóch pierwszych stuleci swej działalności Kościół poświęcał się bezpośrednio i całkowicie dziełu ewangelizacji. Biskupi to wielcy twórcy tego pierwszego podboju; ilość ich wzrasta bardzo poważnie, co prowadzi do niebezpiecznego i niekończącego się rozdrobnienia kościołów. Dopiero w miarę umacniania się misji konstytuuje się parafia; nie została ona bynajmniej stworzona na skutek jakiejś określonej decyzji, lecz powstała empirycznie, w najrozmaitszych formach, których ujednolicenie było kwestią dłuższego czasu. Kościół, nie troszcząc się o własną organizację, tym bardziej nie zajmuje się zorganizowaniem świata; bynajmniej nie dlatego, żeby miał lekceważyć to zadanie, lecz po prostu dlatego, że nie jest to jego sprawą — i pozostawia ją tym, do których ona należy.

Ponieważ jednak Kościół, tak samo jak jego Przewodnik, jest w pełni wcielony, przeto posłannictwo swoje, nie będące posłannictwem z tego świata, urzeczywistnia w tym świecie. Trzeba więc powrócić do oczywistości, od której wyszliśmy.

Mówiąc ściśle, nie ma dwóch historii sobie wzajemnie obcych: historii świętej i historii świeckiej. Jest jedna jedyna historia: ludzkości, która dąży do Królestwa Bożego. To „historia święta" w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz rozciągnięta pomiędzy dwoma biegunami: biegunem nadprzyrodzonego i biegunem doczesnego, z obszarami granicznymi wokół każdego z nich i strefą pośrednią o nieskończonej ilości stopni pomiędzy nimi. Kościół równie stanowczo przeczy rozdzieleniu tych dwóch światów, co stwierdza ich zdecydowaną odrębność. Należy bezustannie określać ich granice, utrzymując jednocześnie ścisłą łączność pomiędzy nimi.

„Nadprzyrodzonemu nie wydziela się jego części" — napisał Bernanos. Jeden z wymiarów historii, wyabstrahowany na potrzeby działalności ograniczonej i nieuniknienie fragmentarycznej, może być uzależniony od pewnego rodzaju ekonomizmu historycznego; ale całość historii w każdym z jej momentów nabiera dla chrześcijanina pełnego znaczenia tylko w świetle *nadprzyrodzoności historycznej*, która ocenia każde wydarzenie ze względu na kolektywne zbawienie oraz spełnienia Królestwa. Jeżeli natura ludzka jest w pełni sobą samą wyłącznie wtedy, gdy otwiera się dla życia nadprzyrodzonego i jeżeli zamykając się dla niego upada — to stan ten nie ulega zmianie, gdy przechodzi ona do życia kolektywnego. Kościół wie dobrze, że to „otwarcie się" dla nadprzyrodzoności, na pozór nie mające żadnego związku z życiem codziennym, jest w istocie zasadniczym warunkiem ochrony osobowości ludzkich, a poprzez nie całej cywilizacji. Powiedzieliśmy: nadprzyrodzoność *historyczna*. Proszę tego nie traktować jako ucieczki. Chrześcijanin — to człowiek, dla którego Królestwo Boże jest czymś, co już istnieje pośród nas i poprzez nas. Dlatego to historia nie jest ani farsą, ani dramatem nie mającym celu, ale boską komedią, za którą ukrywa się boska tragedia. W niektórych religiach historia święta jest czymś mitycznym, ale jest to komedia, w której człowiek odgrywa pewną rolę, lecz magiczny scenariusz, który człowiek znosi jako fantazję bogów i który źle się dla niego kończy. Germanie, żądni zemsty, wciągają bogów w ostateczną katastrofę. Dla chrystianizmu współudział Boga w historii człowieka jest tak dogłębny i wewnętrzny, że ostatecznie człowiek zostaje wciągnięty w chwałę Boga. I zaczyna się to już w naszych oczach, w dniu dzisiejszym.

Chrześcijanin nie może więc w żadnym wypadku rozdzielać swoich czynności i mówić: te należą do Kościoła czy do życia wiary, do dziedziny nadprzyrodzonego, te do takiej lub owej doktryny czy akcji mającej na celu organizowanie ziemi. Ziemi nie można organizować poza wiarą, tak jak i wiara nie może się rozwijać bez sił ziemi. Jesteśmy przeniknięci i określeni, tak indywidualnej jak i kolektywnie, ich łącznym wpływem.

Życie Kościoła jednak oraz zaszczepione na nim życie wiary w nas są transcendentne w stosunku do swoich skutków oraz swoich form historycznych. Rzeczywistości, ku którym zdąża wiara, znamy tylko w zwierciadle i jako tajemnice. Dysponując wyłącznie zwykłymi zasobami naszego życia duchowego oraz nauczaniem Kościoła możemy poznać tylko w zwierciadle i jako tajemnicę stosunku tych ciemnych dla nas prawd do faktów cywilizacyjnych. Dogmatyzować ślepo na ten temat — byłoby to zuchwalstwo, a nawet świętokradztwo. Ileż to razy w ciągu naszego krótkiego życia słyszeliśmy już, że ci lub owi są „monarchistami, ponieważ są chrześcijanami", „demokratami, ponieważ są chrześcijanami" czy „postępowcami, ponieważ są chrześcijanami"! Lecz podkreślenie tego udziału agnostycyzmu nie wyczerpuje naszej analizy. Stosunek świadomości chrześcijanina do świadomości Kościoła oraz świadomości Kościoła do księgi Historii — to stosunki złożone i w tym momencie naszych rozważań trzeba je wyjaśnić, gdyż niedawne polemiki na ten temat wprowadziły wiele zamieszania.

Żywotne działanie nadprzyrodzonego na przebieg historii poddanej rzeczywistemu panowaniu Chrystusa, organiczne wrośnięcie historii świętej w historię świecką — nie pozwalają nam traktować ich jako dwóch odrębnych historii ani odosabniać ich w dwóch płaszczyznach osądu oraz dwóch sektorach działalności. To właśnie było błędem chrześcijan z *Action Française*. Chcąc jednak wyeliminować jakiś

(Dokończenie na str. 7)

---

nowymi kompromitacjami w Afryce Północnej, gdzie wrzało nie gorzej niż w Wietnamie. Trzeba było rozstrzygnąć groźny problem ratyfikacji układów o „Wspolnocie Europejskiej" i remilitaryzacji Niemiec, trzeba było ratować gospodarkę przed kompletnym bankructwem. To wszystko trzeba było wykonać bez sprecyzowanej większości w parlamencie, bez jednolitej opinii w łonie samego rządu.

Któż stał więc za Mendès-Francem? Przede wszystkim stała za nim francuska opinia publiczna, doprowadzona do szczytu rozdrażnienia tym, że się z nią przez poprzednie lata w ogóle nie liczono. Od pierwszych dni swych rządów Mendès-France zwrócił się do niej bezpośrednio, otwierając, za przykładem Roosevelta serię radiowych pogadanek politycznych, wyjaśniających najszerszym rzeszom słuchaczy swe plany i zasady swej polityki. Organizując wokół siebie opinię publiczną, wywierając za jej pośrednictwem nacisk na poszczególne ugrupowania parlamentarne liczy więc Mendès-France na utrzymanie w ryzach zanarchizowanych i zdemoralizowanych parlamentarzystów.

Trzeba jednak stwierdzić, z jednej strony, iż jakkolwiek wystąpienia nowego premiera napotykają na dość szeroki oddźwięk we Francji, lecz z drugiej strony nie wiele potrzeba, by zręcznym manewrem odwrócić uwagę na ogół bardzo zdezorientowanej opinii od spraw najistotniejszych i rozprawić się z rządem w jakiejś krytycznej sytuacji. Pozycja więc Mendès France'a pozostaje w dalszym ciągu bardzo niebezpieczna.

WÓDZ „INTELIGENCJI POLITYCZNEJ"

Drugim oparciem jego polityki jest młoda, ambitna kadra francuskiej „inteligencji politycznej". Francja powojenna wytworzyła bowiem warstwę ludzi, którzy byli dotąd uważani tylko za mniej czy bardziej zdolnych „speców", fachowców od najróżnorodniejszych dziedzin życia publicznego. Warstwa ta od lat niecierpliwi się, widząc jak jej najlepsze intencje i możliwości marnują się w rękach nieudolnych i niepewnych jutra polityków. Bez wątpienia Mendès France jest ich rzecznikiem i reprezentuje w dużej mierze właśnie ich, ściśle realistyczny, ściśle praktyczny sposób myślenia, pozbawiony szerszych pobudek ideowych i moralnych, lecz traktujących sztukę rządzenia krajem jako jeszcze jeden zawód, który trzeba rzetelnie wykonywać.

Za to przeciw sobie ma nowy premier potężny aparat wyższej i średniej biurokracji, najbardziej konserwatywny i najtrudniejszy do pokonania. Zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i kolonialnych oraz w polityce zagranicznej natknie się Mendès France na policję, na administrację, na zarząd kolonii, na dyplomatów jak najbardziej wrokich, a w najlepszym razie obcych jego zamierzeniom.

„Francja, zauważa korespondent Timesa, według świetnego powiedzenia, nie jest rządzona tylko administrowana... Ani jedna warstwa nie może się przeciwstawić tak pewnie zmianom, jak urzędnicza, która jako obrończyni odwiecznych zwyczajów i dawnych przywilejów, zawzięcie się opiera przypływowi nowych idei i systemów na wszystkich szczeblach, od ogólnopaństwowego do lokalnego".

Jak widać — podstawy rządu Mendès France'a są nadzwyczaj kruche i trzeba niezwykłej zręczności i odwagi tego polityka, by przy pomocy tak słabego narzędzia rozpocząć realizację swego programu.

Mógłby niewątpliwie Mendès France znaleźć solidniejszą dla siebie podbudowę. Musiałby jednak wówczas istotnie śmiało się zwrócić do francuskich mas pracujących i oprzeć się na ich potężnej sile. Musiałby jednak wówczas, nawet nie realizując założeń programu komunistycznego, oprzeć się również o siły Partii Komunistycznej, klasowych Związków Zawodowych (CGT) jednym słowem przeprowadzić program Frontu Ludowego. Od tych pozycji się jednak Mendès-France od pierwszych chwil swego rządu kategorycznie odrzeka, pozostając w całej pełni politykiem burżuazyjnym, który, pragnąc wzmocnienia swego kraju, nie widzi możliwości wyrwania go z kręgu wewnętrznych i zagranicznych prawideł świata kapitalistycznego.

HISTORIA SIĘ NIE POWTARZA

Dlatego też rząd jego jest rządem wewnętrznych sprzeczności. Mendès-France prowadzi bez wątpienia energiczniejszą niż poprzednio politykę zagraniczną. Niemniej nie miał w swym gabinecie nigdy jednolitej opinii w tych sprawach. Najpierw ustąpiło dwóch ministrów, odrzucając, jako zbyt ugodowe, propozycje kompromisu w sprawie EWO. Następnie odeszło dwóch innych, gdyż Mendès-France dopuścił do odrzucenia ratyfikacji układów z Bonn i Paryża. O mały włos uniknął on kryzysu gabinetowego z powodu jego polityki afrykańskiej. Zapowiedział postępowe reformy gospodarcze, lecz zachował na stanowisku ministra Finansów reakcyjnego Faure, który tę samą tekę piastował poprzednio u Laniela.

Prawica zdaje sobie doskonale sprawę ze słabości nowego rządu. Jeśli nie atakuje go zbyt energicznie, to dlatego, że nikt się dziś nie śpieszy z wyciąganiem kasztanów z ognia a sytuacja Francji jest tak trudna, że mało kto reflektuje na wzięcie w chwili obecnej odpowiedzialności za jej rządy. Typowym jednak chwytem jest szantażowanie Mendès France zarzutem, iż jest utajonym sprzymierzeńcem komunistów, by tym samym zniechęcić do niego burżuazyjną opinię i odciąć go ostatecznie od Amerykanów. W języku fachowym streszcza się to do pytania — czym ostatecznie zostanie Mendès-France — nowym Kiereńskim, otwierającym drogę do rewolucji, czy nowym Disraelim, budującym własnymi metodami imperium dla Francji? Historia jednak nie powtarza się, wie o tym, wydaje się, premier francuski lepiej od swych przeciwników.

W ostateczności pozostaje mu jedna broń — odwaga. Odważne decyzje, zaskakujące parlament, narzucające się swym realizmem, imponujące opinii. To jego główny argument.

W polityce zagranicznej bez wątpienia ta gra w pokera dała mu doniosłe rezultaty. Zyskując sobie śmiertelnych wrogów w MRP przeforsował ratyfikację zawieszenia broni w Indochinach. Praktycznie również o zawieszenie broni chodziło w Tunisie, gdzie nastroje, podobnie jak w Maroko dochodziły do szczytu napięcia. Jeszcze przed inwestyturą Mendès France ostrzegał:

„Podczas gdy w Indochinach pod presją faktów musieliśmy przyznać Państwom Stowarzyszonym więcej niż uprzednio odmówiliśmy Ho Szi Minhowi, w Afryce Północnej uprawiamy politykę kategorycznej odmowy i represji wobec najbardziej umiarkowanych elementów".

I tu udało mu się przeforsować wbrew opozycji kolonialistów rozwiązania kompromisowe, choć oczywiście dalekie od uwzględnienia postulatów ludności afrykańskiej.

W najdrażliwszej sprawie „Wspólnoty Europejskiej" gra Mendès France'a była dotąd nie mniej zręczna. Nie był on nigdy entuzjastą tych układów, lecz gra sił w rządzie i w parlamencie nie pozwalała mu na zaangażowanie się. W rezultacie, zastosowawszy unik w postaci propozycji kompromisowych, których przyjęcia się nie spodziewał, asystował na debacie parlamentarnej jako widz, nie angażując po żadnej stronie autorytetu rządu. Unikając poważnego kryzysu dał jednak Izbie możność odrzucenia traktatu.

UCIĄŻLIWI SOJUSZNICY

Sytuacja na odcinku ekonomicznym nie jest bynajmniej jaśniejsza. Program, przedstawiony przez Faure'a wywołał na ogół duże rozczarowanie. Nie wiele w nim pozostało z zapowiedzianych odważnych posunięć.

„Premier nie może, nawet jeśli by chciał, rządzić bez poparcia swych sojuszników z centrum, prowadząc politykę ekonomicznej ekspansji i społecznego postępu, którą by popierała inna większość, ocenia słusznie w „La Quinzaine" G. Mulard. Pozory ekonomicznej niezależności, jakie on stwarza, nie znajdują potwierdzenia w jego polityce. Jeśli bowiem ta polityka zaznacza lekkie odchylenie od linii poprzednich rządów, to jednak w żadnym razie nie zrywa z ich podstawowymi założeniami".

Na przeciwległym biegunie politycznym ten sam sąd wyraża angielski „Economist":

„Jeśli jego (M. France) polityka gospodarcza będzie atakować ustalone przywileje, straci poparcie swego prawego skrzydła; jeśli będzie się oznaczać surowością bez żadnych kompensat dla robotników — przesunie do opozycji socjalistów; nieliczenie się zaś z głosami komunistów dało p. Mendès France tylko znikomo większą przestrzeń manewrową niż ta, którą posiadał p. Laniel".

Są w programie ekonomicznym nowego rządu punkty cenne dla mas pracujących Francji. Pozytywnie przyjęto zapowiedź dążenia do większego usamodzielnienia się przez intensyfikację wymiany handlowej ze Wschodem. Cenny jest program budownictwa mieszkaniowego, choć na razie kredyty oddane do dyspozycji są minimalne. Godne pochwały są również zapowiedzi skasowania szeregu specjalnych przywilejów ekonomicznych, zmuszających państwo do inwestowania nieproduktywnie swych pieniędzy dla podtrzymywania dochodowości tam, gdzie kapitał prywatny nie chciał się angażować.

Niemniej program ten jest na ogół przyjęty sceptycznie przez masy pracujące z paru ważnych przyczyn. Pierwszą jest reakcyjna teza Edgara Faure, iż podniesienie płac nie będzie wyprzedzać lecz ma być ostatnim etapem nowej gospodarki. Minister finansów mówi wręcz o „nagrodzie" dla robotników tam, gdzie chodzi o podstawowe, życiowe wymagania. Następnie — reforma nie uwzględnia w ogóle zagadnienia zmiany systemu podatkowego, który przerzuca cały ciężar ekonomiczny na barki nisko zarobkujących a oszczędza wielkie dochody. Wreszcie po trzecie brak w programie gwarancji, broniących masy pracujące przed zwyżkami cen, spekulacją i w rezultacie — dalszą obniżką stopy życiowej robotników.

FRANCUSKI „NEW DEAL"?

Mendès France pragnie najprawdopodobniej stać się francuskim Rooseveltem, i stworzyć francuski „New Deal". Sytuacja Roosevelta była nieporównanie łatwiejsza, choć i tak łatwa nie była. Roosevelt miał oparcie w koniunkturze wewnętrznej i zewnętrznej i nigdy nie był w tej mierze uzależniony od głosów w Izbie jak premier francuski. Roosevelt wreszcie stał na czele mocarstwa w pełni rozwoju, podczas gdy Mendès France obejmuje władzę w państwie w pełni wewnętrznego i zagranicznego kryzysu.

Jest rzeczą oczywistą, że tylko zdecydowana polityka w zakresie wewnętrznych problemów gospo-

(Dokończenie na str. 7)

EPOS ten jest próbą poetyckiej rekonstrukcji dziejów ziem zachodnio - ruskich w okresie poantyjskim, tj. pomiędzy VI a X w. Źródłem, na którym bazuję moją pracę, są na ogół nieznane pieśni ludowe z okolic Dubna, zapisane pomiędzy 1795 a 1812 r., a dostarczone mi przez śp. Stanisława Miłaszewskiego, o ile mnie pamięć nie myli — w lutym 1942 r. Najstarsze z nich powstały — zdaje się — jeszcze w epoce najazdu awarskiego (VI w po Chr.) i nawiązują do czasów upadku państwa Antów-Dulebów. Jednak narastające w ciągu wieków nawarstwienia zniekształciły pierwotny ich tekst tak dalece, że bardzo długo nie mogłem umiejscowić w czasie opiewanych tu wypadków. Przede wszystkim dotyczyło to Obrów-Awarów, nazywanych przez bezimiennego recytatora z czasów napoleońskich „Tatarami", jak i tajemniczych Kiwów, czy Kiwców, których — ze względu na to, że zamieszkują nad środkowym Dnieprem — należałoby utożsamić z Kijanami-Kijewcami. Potwierdzałoby to zresztą wiadomość kronikarzy o tym, że część Słowian sprzymierzyła się z Awarami. W każdym razie nie mogli to być Kipczacy-Połowcy, których w tym czasie w stepach naddnieprzańskich jeszcze nie było. Zresztą chodziło tu z całą pewnością o lud od dawna osiadły, a nie koczowników. Z drugiej jednak strony podobieństwo wyrazów Kiwcy, Kiwy ze wschodniosłowiańską nazwą Scytów (Skify, bizant.-greck. Skifai) nasunęło mi nieco fantastyczne przypuszczenie, że chodziło tu o jakąś pozostałość tego wielkiego ludu z czasów przedchrystusowych, osiadłą pomiędzy ludami słowiańskimi i językowo już zesłowiańszczoną, podobnie jak zesłowiańszczyli się później sprzymierzeńcy Awarów — Bułgarzy.

Kluczem do odcyfrowania epoki stał się dla mnie materiał, który wytypowałem jako chronologicznie najwcześniejszy, a który dało się skonfrontować z kronikami Menandra, Jornandesa i Nestora. Zadziwiająca zgodność opisywanych wypadków z wiadomościami historycznymi upewniła mnie w przeświadczeniu, że mam do czynienia ze szczątkami olbrzymiego dziejowego eposu, niezwykle realistycznego i historycznie ścisłego. Niestety, cały ten bezcenny skarb uległ zniszczeniu wraz z moim mieszkaniem w tragicznym powstaniu 1944 r. Pozostały tylko fragmenty trawestowane przeze mnie w okresie 1942 — 1944 i obecnie odtwarzane z pamięci.

Rapsod pierwszy („Rządy awarskie"), poniżej zamieszczony, stanowi upoetyzowaną relację któregoś z wysokich dostojników antyjskich, dobrze zorientowanego w ówczesnej sytuacji międzynarodowej, znawcę dziejów ojczystych i gorącego patriotę. Oślepiony przez Awarów, w czasie pamiętnego poselstwa z 558 r., wędrował odtąd po całym kraju jako pieśniarz-agitator, uświadamiając lud słowiański o przebiegu tragicznych wypadków i zagrzewając go do dalszej walki z Awarami.

Miara wierszowa oryginału — zupełnie odbiegająca od znacznie późniejszych bylin — jest zmienna, ale na ogół zbliżona do mojej trawestacji.

BOHDAN GĘBARSKI

RYS. GABRIEL RECHOWICZ

RUTHENIANA

(próba rekonstrukcji eposu)

Rapsod pierwszy

RZĄDY AWARSKIE

Czemu ty lesie od żalu nie spłoniesz,
Tak jak spłonęły przyhoryńskie lasy,
By Awar pod ich cieniem się nie schronił,
Nie rwał gałęzi do swego szałasu.

I by się one nie stały rózgami,
Którymi pędza dziewki do sromoty,
A owinąwszy konar warkoczami
Wiesza na drzewach i oszczep w nie miota.

Białki co gładsze do dyszla zaprzęga
I pędzi cwałem ta czereda naga,
Gdy sam pohaniec na wozie przyklęka,
Gwiżdże i wyje, i batem je smaga.

A drzewa latoś obrodziły setnie,
Jeno że owoc w tym roku żylasty:
Chmara wisielców pohańbionych szpetnie,
Stopami chwyta biegnące niewiasty.

Zaś na bajorach, na grząskich topielach,
Trupy się w błocie kołyszą niemrawie.
Koła turkoczą po ludzkich piszczelach.
Plączą się w brodach, jak w wysokiej trawie.

Między drzewami biegną wilkołaki,
Mają wzrok głodny i zmierzwione włosy,
A gdy się zbliżysz — uciekają w krzaki,
Płacząc ze strachu dziecięcymi głosy.

*

Dokądże biegną te białki w uprzęży,
Dokąd to śpieszą Obrowie ze śmiechy?
Może ich Chagan obdarzy orężem,
Lub jakieś inne gotuje uciechy?

Nie, tylko jutro dzieweczki Stawona
Chagan swym sługom odda do zabawy,
Aby hańbili ich piersi i łona
Na oczach wszystkich — dla większej niesławy.

Nasi ojcowie kąpali swe konie
w wodach Dunaju i w wodach Marycy,
A ty, niegodny sławy ich, Stawonie,
Zgubiłeś własną na dnie Wereszycy.

Po tamtej stronie, w gościnie u Dara,
Zażywasz sławy i stąpasz w purpurze,
A słuchasz obcych przechwałek i swarów,
Gdy twoje córki ciągają na sznurze.

Lecz Wereszyca nie osłoni ciebie,
Przejdą wrogowie przez nią letnią nocą
I stos obłoków zapalą na niebie
Tym, co przed tobą chełpili się mocą.

*

I myśmy byli dufni w swoje siły,
Niosąc na włóczniach pęki świeżej jodły
Na znak poselstwa. Aż nas obstąpiły
Kijańskie straże i dalej powiodły.

Stał obóz Obrów niedaleko drogi,
W łuku Horynia, na łańcuchu wzgórzy.
Tu z pokłonami witały nas wrogi
I sposobiły do dalszej podróży.

Awarskie konie niosły nas stepami,
Szybko migały złoto-sine doby,
Wiatry ojczyste goniły za nami
I nawiewały tęsknice — choroby.

*

A noce były srebrne od miesiąca,
Ziemia z gwiazdami gadała do rana,
Jak tamtej nocy, kiedy ciżba rwąca
Tywerskich zbiegów zbudziła Rojana.

I pędził do nas — ile koń wytrzyma,
A za nim, tłocząc się i gniotąc straże,
Biegli Tywerce z błędnymi oczyma,
Jakby zaiste jakieś hordy wraże.

A potem zdala zaświtała łuna,
Jakby ktoś nagle zapalił pochodnię,
I niósł ją zwolna ku ziemi Korszuna,
Żeby ją uczcić wymownie i godnie.

Tłum zbiegów ciągle szedł zwartą ławicą,
A żar pożogi płomienił im brody,
Jedno pragnienie zamarło w źrenicach,
Aby w czas dobiec do granicznej wody.

*

Razem ze słońcem zjawiły się Obry,
Biegli na koniach po pobliskim skłonie,
Paru zaś młodszych i widocznie chrobrych
Weszło do Żwańca, by napoić konie.

Lecz reszta, widząc pochylone groty
Na naszym brzegu, stanęła jak wryta,
Aż ktoś znaczniejszy podał znak odwrotu
I cała zgraja ruszyła z kopyta.

Przed burzą koni szakale się kryją,
Ciągnąc za sobą napoczęte zwłoki.
Lub tryśnie w górę sęp z obdartą szyją
Nieruchomymi skrzydłami w obłoki...

*

Przez trzy dni z rzędu nie doszło do boju,
Aż paru gońców z horyńskiej załogi,
Zmieniając konie na każdym postoju
Przybiegło krzycząc, że nadeszły wrogi.

A z nimi liczne oddziały Kijanów
Zbrojnych w topory pracują od doby:
Las wycinają pod obóz Bajana,
Czy może innej dostojnej osoby.

I gród budują u wielkiej przesieki —
Tam, gdzie przebiega cięciwa Horynia,
A dawniej biegły wody samej rzeki,
Póki jej rozkaz Preboha nie wstrzymał.

Lecz nie przedzierał się nikt w naszą stronę,
Jeno z wieczora podjechało troje
Aż do przesieki, a najstarszy z grona
Miał długą brodę i złocistą zbroję.

Zaś pozostali, zbrojni jeno w rogi,
Które przy ustach trzymali jak czary,
Byli ubrani w strój bardziej ubogi
I purpurowe dźwigali sztandary.

Wtem podniósł stary ciężką rękę w górę,
A usta Obrów do rogu przypadły
I dźwięki trąby uderzyły w chmury
Z takim łoskotem, że konie przysiadły

A stado wilków wśród leśnych manowców
Wyjąc ze strachu przypadło do skały,
Łoś oszalały popędził na łowców
I padł przeszyty — a nie poczuł strzały.

Skinieniem dłoni starzec wstrzymał dźwięki,
Jeno gdzieś echo ciskało pioruny,
Jak gdyby mocą tej wzniesionej ręki
Sosny i brzozy zmieniały się w struny.

Nasi przybiegli i stają dokoła,
Patrząc na posła zbroję znakomitą,
A on się uniósł w strzemionach i woła
W mowie Kijanów, jakby sam był Scytą:

„Chagan pozdrawia Wiec Starszych i króla
I czeka posłów od dostojnej Rady.
Chagan przyjaciół do serca przytula,
A swoich wrogów tratuje jak gady.

Patrzcie Kijanów, co pod jego pieczę
Skłonili głowy i dzielą z nim łupy,
Patrzcie Tywerców, co wznieśli nań miecze,
A teraz wrony tarmoszą ich trupy.

Na naszych targach obnażone ciała
Dziewek tywerskich chłoszczą niewolnicy
I tyle będzie ojczyzna z nich miała,
Co swoim panom naszepcą w łożnicy.

Bo tam dziś pustka: jest niebo i słońce,
Są kłęby dymu, jastrzębie i płazy,
Są oczy wilków nocami świecące
I wichrem gnane tumany zarazy.

Wybierzcie przeto, co wam bardziej lube:
Kijańskie łupy, czy tywerskie groby.
Z pierwszymi wolno wam podzielić chlubę,
Z drugimi — chyba podzielić żałobę.

Chagan nie nosi w sercu swoim zdrady,
Chagan do zgody wyciąga ramiona
I czeka posłów od dostojnej Rady
Swojego brata młodszego Stawona".

*

Awarskie konie niosły nas stepami,
Szybko migały złotosine doby.
Wiatry ojczyste goniły za nami
I nawiewały tęsknice — choroby.

A noce były srebrne od miesiąca,
Ziemia z gwiazdami gadała do rana
Szeptem stłumionym. Może od gorąca
Krwi tu przelanej tak rozdygotana.

Obok nas biegły niewidzialne warty:
Korszun Stygmara dosięgał szponami,
Nieszczęsny Bożan na krzyżu rozdarty
Drewnianym skrzydłem łopotał nad nami.

Jaron — odmieniec, pół płaza pół gada,
Stalową łuską szeleścił po trawie,
Z sykiem wężowym powieść opowiadał
O swojej drodze ku wiecznej niesławie.

W ślad za nim Pomor, z synem swym Bohdanem
Chwytali księżyc na zwierciadła szczytów,
Ich to imieniem, legendą owianym,
Straszono dzieci naddnieprzańskich Scytów.

A dalej Stawor w dwa tysiące łodzi
Bohu-nurzańca rozpryskiwał wody,
Aż się przelały w olbrzymiej powodzi
Przez Dniestr i Dunaj — na cesarskie grody.

*

Ziemio, ty ziemio bezpańska, stepowa,
Ziemio spalona promieniami słońca,
Kto przebrnął twoje bagniste parowy,
Kto cię przemierzył do samego końca,

Gdzie słońce wstaje i skąd ku nam płyną
Na skrzydłach wiatrów, pachnących pożarem
Ludy karmione gnijącą padliną,
Pijane mlekiem kobylim i skwarem?

*

Lecz odwróciły się kiedyś płomienie,
Ciśnięte w porę przez odważne ręce,
Na wschód pognały czerwonym jeleniem,
Z koroną rogów ognistych miast wieńca.

*

Opowiedz, wietrze duszący i skwarny
Jak to płonęły przyhoryńskie knieje,
Jak cielska dębów wiły się w męczarni,
Sypiąc dokoła ognistą zawieję.

I o tym jeszcze, jak drużyna chana,
W srebrnych pancerzach, zbrojna w samostrzały,
Została nagle w płomienie odziana
I użyźniła las własnymi ciały.

Ja nie widziałem już tego obrazu —
Oczy zostały w awarskim namiocie —
Jeno nozdrzami wdychałem z odrazą,
Odór rozlany w słonecznej spiekocie.

Teraz jam ślepiec, bezradny i chory,
Z trudem wlokący poranione stopy,
By na cmentarzu, pomiędzy upiory,
Dźwigać na nowo rozwalone stropy.

Śpiewam odważnym o obecnej nędzy,
Śpiewam tchórzliwym o byłej odwadze,
Śpiewam shańbionym o dawnej potędze
I uczę dumnych, jak odzyskać władzę.

*

A przypominam im dzieje Stawora,
Jenże, wracając znad Marycy — rzeki,
Szedł bezdrożami górskimi i borem,
Ścigany co dnia przez podstępne Greki.

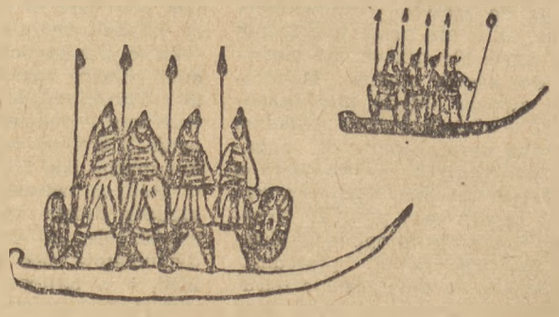

Jako ten niedźwiedź goniony przez wilki
Coraz to staje i grozi im kłami,
A tamte przed nim cofają się chyłkiem,
Kryjąc się w cieniach pomiędzy skałami.

W. 2. O pożarze przyhoryńskich lasów, które podpalili Dulebowie, by zniszczyć nacierających Awarów — patrz niżej.

W. 3. Awarowie, inaczej Obrowie — lud turański, który w VI w. najechał na wschodnich Słowian, a następnie przedarł się na równinę panońską i tu założył rozbójnicze państwo, zniszczone następnie przez Karola Wielkiego.

W. 9. Zaprzęganie kobiet dulebskich przez Awarów jest faktem historycznym, znanym ze staroruskiej kroniki „Powiest' wriemiennych let".

W. 27. Chagan — tytuł władcy Awarów i innych władców turańskich i mongolskich.

W. 29. Mowa o córkach Stawona, ostatniego króla Antów-Dulebów.

W. 37. Dar — najwidoczniej władca Wiślan-Białochrobatów.

W. 38. „Stąpać w purpurze" — oczywiście licentia poetica.

W. 42. O najeździe Obrów na Wiślan tradycja ustna ani źródła nic nie mówią. Wiemy jednak, że Awarowie w swym pochodzie na zachód dotarli aż nad Łabę, może zresztą przez Czechy.

W. 45. Akcja poematu cofa się do czasów poprzedzających napad Awarów na ziemię dulebską.

W. 59. Akcja poematu cofa się ponownie do czasów najazdu Awarów na sąsiadujący z Antami lud Tywerców.

W. 60. Rojan — najwidoczniej dowódca granicznego grodu.

W. 63. Tywercy — lud słowiański, żyjący pomiędzy Bohem a Dniestrem. Wchodzili kiedyś, zdaje się, w skład państwa Antów, później stworzyli własne państewko, zniszczone doszczętnie przez Awarów.

W. 67. Korszun — jak wynika z cytowanego tekstu — był założycielem państwa Antów. Żył prawdopodobnie w okresie wędrówki Gotów z wybrzeży bałtyckich nad morze Czarne.

W. 76. Jak wynika z następnej strofki, granica pomiędzy państwem Antów a Tywercami biegła wzdłuż rzeczki Żwaniec.

W. 91. Bajan — chagan, który dokonał podboju ziem dulebskich, a następnie osadził Awarów na terytorium dzisiejszych Węgier, zakładając własne państwo, które przetrwało do końca VIII w.

W. 95. Wynikałoby z tego, że kiedyś wody górnego Horynia biegły cięciwą dzisiejszego łuku.

W. 96. Preboh — próba rekonstrukcji nieznanej nazwy głównego bóstwa antyjskiego.

W. 120. Z dalszych tekstów wynika, że owi „Scytowie" naddnieprzańscy mówili narzeczem słowiańskim.

W. 121. O polityce zagranicznej Antów decydował więc starszyzny rodowej, któremu podporządkowywał się również i „król", o bliżej nieokreślonych uprawnieniach.

W. 144. „Młodszy brat" — tu w znaczeniu mniejszego, podrzędnego władcy.

W. 154. Stygmar — widocznie jakiś dowódca Gotów.

W. 155. Bożan — to prawdopodobnie Boza, król Antów, w/g Jornandesa wzięty do niewoli i ukrzyżowany przez króla gockiego Winitara.

W. 157. Jaron — postać skądinąd nieznana.

W. 161. O Pomorze i Bohdanie są wzmianki w dalszych tekstach „Ruthenianу".

W. 165. Stawor (nie mieszać ze Sta-

Tak nasi, wroga podpuszczając blisko,
Pruli weń wściekle ze stalowych kuszy
I opadało wyjąc kłębowisko
Ciał ludzkich na dno wezbranej Maruszy.

Aż weszli woje u samej granicy
Na grzbiet Rodniański, gdzie śnieżyce wyły —
Jako te wiedźmy, albo żałobnicy,
Kiedy popioły niosą do mogiły.

I tak powiedział Stawor do starszyzny:
„Nie ma nam, bracia, innego wyboru,
Lepiej jest polec na progu ojczyzny,
Niż wpuścić wilki do własnego dworu".

Więc nie ruszyli już z onej przełęczy,
Czekając wroga z żarliwym uporem
Tam, gdzie wyrasta ku wiecznej pamięci,
Samotna skała nazwana Staworem.

*

Tak się umieli potykać w obronie
Swej czci wojackiej i swojego kraju
Ci, co wielekroć kąpali swe konie
W wodach Marycy i w wodach Dunaju.

Jeno nie wierzą w to durne otroki.
Jak mam im prawić kiedy wrony kraczą?
Jak sławić słońce wśród takiego mroku?
Jak krzepić serca, co ledwie kołaczą?

*

Dlaczego wówczas, gdy pchnięto wierzeje,
By wpuścić posły przed oblicze chana,
Nie objawiła nam swych przyszłych dziejów
Ziemia nogami Awarów zdeptana.

Jam nie przewidział wyników rozprawy —
Sam się toczyłem na fali zdarzenia.
Nie byłem godzien ni władzy ni sławy —
Chciałem los kroić nie znając mierzenia.

*

Jeśli mam milczeć, obym wrósł w te skały,
By z nich wytrysnąć, gdy świat się odmieni,
Gdy grody nasze znowu będą stały
W oblamowaniu soczystej zieleni.

Chcę wówczas skoczyć na pierś praprawnuka,
By mu nie jęki wycisnąć z gardzieli,
Lecz pieśń utkaną z wszechmądrości kruka,
Polotu orła i wdzięku danieli.

*

Pieśń tę wyśnioną przez ślepego człeka,
Na większą chwałę zgasłego plemienia,
Zebrał i spisał, po czternastu wiekach,
Człowiek nieznany nikomu z imienia,

Co opowieści jemu przekazanej
Nie dał zaginąć wśród lawiny głazów
I samowolnie imię „Ruthenians"
Rzucił na stosy wyblakłych obrazów.

Jestem nie więcej jak tylko cięciwą
Łuku, co czekał na swoją godzinę.
Czasem przelotny wiatr strunę ożywi
I wtedy stary łuk śpiewać zaczyna:

„Byli Antowie w szponach złego ptaka,
Więzy targali, a na nic się zdało,
Gdy raz..." I głosem ślepego śpiewaka
Nuci łuk z cicha, co dalej się stało.

---

konem) najwidoczniej dowodził którąś z wypraw Antów przeciw Bizantyjczykom (por. pisma Prokopiusza i Maurycego Strategi oraz w. 201 i dalsze).

W. 175. Mowa tu o Hunach, Awarach i pomniejszych hordach najeźdźców stepowych, pochodzenia przeważnie turańskiego.

W. 177 i dalsze — por. pierwszą strofę.

W. 186. „Samostrzały" — tu w znaczeniu — „kusze".

W. 190. „Oczy zostały w awarskim namiocie" — podczas audiencji u Bajana, chagan, obrażony przez antyjskiego posła Mezamira, kazał go zabić, a pozostałym członkom poselstwa wyłupić oczy, po czym natchnął na ziemię antyjskie. (por. u Menandra I c. p. 284—285).

W. 201. Por. w. 165

W. 202. Maryca — rzeka w Tracji, do której docierały najazdy Antów (por. w 34 i 223).

W. 203. Jak widać z dalszego opisu Stawor powracał do kraju Antów przez dzisiejszy Siedmiogród.

W. 204. Mowa o Bizantyjczykach.

W. 212. Marusza — rzeka w Siedmiogrodzie.

W. 214. Góry Rodniańskie najwidoczniej były południową granicą państwa Antów.

W. 217—220. Por. z podobną wypowiedzią księcia ruskiego w „Słowie o pułku Igora".

W. 233 Akcja poematu powraca — po raz ostatni w tym rapsodzie — do tragicznej audiencji u Bajana (r. 558).

W. 248 Tu kończy się tekst opracowany na podstawie zachowanych pisarzy.

W. 254. Mowa o powstaniu warszawskim, podczas którego uległa zniszczeniu pierwsza redakcja „Ruthenians".

ANDRZEJ ODNOWA

Nowe oblicze GERTRUDY VON LE FORT

GERTRUDA von Le Fort nie jest pisarką zupełnie w Polsce nieznaną. Wśród dość powszechnej u nas niewiedzy i znikomego zainteresowania niemiecką literaturą katolicką jej właśnie twórczość stanowi odosobniony wyjątek. Jeszcze przed wojną przełożono na język polski trzy książki tej pisarki: „Chusta Weroniki", „Papież z ghetta" i „Płomień ofiarny". Po wojnie — obok szkiców i artykułów Jana Dobraczyńskiego i Aleksandra Rogalskiego — pojawiły się w czasopismach katolickich fragmenty „Hymnów do Kościoła" i „Zaślubin w Magdeburgu" oraz szereg opowiadań z tomu „Córka Farinaty".

Wzmagające się zainteresowanie pisarstwem Gertrudy von Le Fort jest zjawiskiem tym cenniejszym, że nie polega ono na przemijającej modzie czy sensacji. Czytelnik stoi tu wobec twórczości głębokiej i trudnej, a z wielostronną siłą oddziałującej na życie Kościoła i współczesną myśl katolicką.

Sędziwa pisarka dobiega dziś 80-go roku życia, lecz z nieznużoną aktywnością uczestniczy w duchowych walkach naszego czasu. Co zaś najbardziej zadziwiające — właśnie w ostatnich latach twórczość jej zdaje się osiągać najbardziej konkretną wymowę i odnajdywać łączność z najżywszymi nurtami epoki.

1.

GERTRUDA von Le Fort przyszła do Kościoła z zewnątrz. Urodzona w roku 1876 w Minden w Westfalii, w junkiersko-pruskiej rodzinie francuskiego, hugenockiego pochodzenia — studiowała za młodu filozofię religii w Heidelbergu oraz w Berlinie, pod kierunkiem głośnego Ernesta Troeltscha. Dłuższy pobyt w Italii zapoznał ją z żywym duchem Kościoła katolickiego. Pierwszą wojnę światową przeżyła w swym majątku w Meklemburgii. I nagle w r. 1924 pojawiły się jej pełne uwielbienia „Hymny do Kościoła". W dwa lata później 50-letnia pisarka przyjęła katolicyzm.

Przełom religijny nieoczekiwanie wyzwolił w Gertrudzie von Le Fort utajone siły twórcze. Wyraziły się one w całym szeregu książek, które od razu zapewniły jej wybitną pozycję w katolickiej literaturze. Wymieńmy choćby tytuły. „Chusta Weroniki" (1928) była powieścią o podwójnym nawróceniu, powieścią w wysokim stopniu autobiograficzną, z akcją rozgrywającą się w atmosferze Rzymu i jego klasycznych i katolickich tradycyj. Z „Papieżem z ghetta" (1930) zwróciła się pisarka ku swemu właściwemu żywiołowi, ku historii. W postaci antypapieża, kardynała Pier Leone, uosobiła niejako całe chrześcijaństwo tamtej epoki — nie umiejące zdobyć się na wyrzeczenie i w pysze odrzucające wezwanie Krzyża nieodłącznego od miłości.

Przed wojną powstały rozważania filozoficzno - religijne pt. „Wieczna kobieta" (1934), będące śmiałym przeciwstawieniem się „męskiej" etyce hitleryzmu, oraz opowiadanie z okresu Rewolucji Francuskiej, „Ostatnia na szafocie". Z drobniejszych utworów wspomnieć jeszcze warto „Hymn do Niemiec", oraz legendę o ostatnich Karolingach pt. „Królestwo dziecka" i nowelę „Płomień ofiarny".

Jeśli objąć jednym spojrzeniem to, co Gertrudzie von Le Fort odkryła jej konwersja i co wypełnia ten pierwszy przedwojenny okres jej twórczości, znajdziemy tu przede wszystkim głębokie zainteresowanie samym Kościołem. Pisarce objawiła się wewnętrzna istota Kościoła jako duchowej wspólnoty, której więzią jest tajemnica Obcowania Świętych. *„Zespolenie tych, którzy z woli Opatrzności, mają pomagać sobie wzajemnie w drodze do Boga, jest tak tajemnicze i tak głębokie, jak nic innego na ziemi..."* — czytamy w „Chuście Weroniki". Postacie powieści Gertrudy von Le Fort powiązane są też zawsze ze sobą silną świadomością wzajemnej odpowiedzialności. Nawet oddalone, nawet zza grobu, oddziałują na siebie myślą, modlitwą, ofiarą. Czyjeś zło obciąża również najbliższych, czyjaś zasługa niesie pomoc utrudzonym. Wszyscy zaś uczestniczą w taki czy inny sposób w cierpieniu i męce, zmartwychwstaniu i chwale Chrystusa, ostatecznego zjednoczenia wszystkich dusz. Stąd, *„jeżeli jest nam dany ktoś, o kim myślimy, że obowiązkiem naszym jest bardzo się zań modlić, oznacza to zawsze zarazem i przede wszystkim, iż własną duszę musimy jeszcze bezwzględniej oddać Bogu"*. Bo *„w rzeczywistości nie my torujemy sobie drogę do Boga, jeno Bóg toruje sobie drogę ku nam"*, pozwalając w Sobie odnaleźć nas samych i naszych bliźnich.

To, co dotyczy dziejów poszczególnych dusz, przenosi się w twórczości Gertrudy von Le Fort również na całe zbiorowości. Niekiedy zresztą jeden człowiek wciela tu jakby cały naród czy — jak Pier Leone w „Papieżu z ghetta" — cały Kościół. Jeśli każdy chrześcijanin odpowiedzialny jest za całe chrześcijaństwo, tym bardziej odnosi się to do chrześcijan na świeczniku. W pisarstwie Gertrudy von Le Fort często więc spotykamy takie *pars pro toto*, reprezentowanie jednostką całej zbiorowości. Nie jest to tylko formalny chwyt kompozycyjny, dążność do łatwego symbolistycznego efektu, efektownej wielkiej przenośni. Widzimy tu nową konsekwencję dogmatu Obcowania Świętych, jak zresztą i wyraz realizmu i historycznej typowości. Wielka pisarka przyjmuje, że prawa historii społecznej nie są w zasadzie inne od praw historii jednostki. I że te same zasady etyczne obowiązują zbiorowość, co jednostkę. U Gertrudy von Le Fort nawet mistyka nie jest obca zbiorowości. Taki jest, jakby ze średniowiecza się wywodzący, religijny maksymalizm pisarki.

Istotnie, wiele było w tym pisarstwie z ducha średniowiecznego. I to raczej z ducha augustynizmu aniżeli tomizmu. Można by też mówić o romantyzmie pisarki — i to tym romantyzmie, który wyraża ideologię dawnych klas władczych, i łączy się z idealizacją przeszłości i jej tradycyj. Dominowała tu refleksja i kontemplatywność, dużo było kunsztownej stylizacji w duchu elegijnym. Skąpa akcja przeważnie ześrodkowana była w ludzkiej duszy i wraz z nią zanurzona w nurtach mistyki. Dramatyzm — bardzo precyzyjny i zwarty — był na wskroś wewnętrzny. Proza ta była zawsze poetycką transpozycją rzeczywistości.

2.

HISTORYCZNE w głównej mierze pisarstwo Gertrudy von Le Fort niesie z sobą i dziś jeszcze powiew dawności, którą dzięki urokom artyzmu odczuwamy jako niemal egzotyczną. To prawda. Lecz nie przeczy to innemu faktowi, że pisarstwo to drążąc w głąb historii i w głąb chrześcijaństwa, zawsze dociera do naszej historycznej chwili, oświetla ją i wyraża. Niekiedy wydaje się, że ją nawet wyprzedza. Uderza to zwłaszcza, kiedy spojrzeć na bogatą powojenną twórczość Gertrudy von Le Fort. W zasadzie nie zmieniła się ona. Powtarzają się w niej te same, co dawniej, główne motywy: wspólnoty Kościoła, obcowania dusz, tajemnicy kobiety, miłości i ofiary. A jednak wyraźnie odczuwamy, że ta twórczość przybliżyła się tymczasem do nas i naszego czasu. A może to tylko czas potwierdził prawdę pisarki?

„Nie, nie ma żadnej nadziei, dopóki miłość chrześcijańska nie uzyska należnych jej praw — bez niej świat musi ulec zniszczeniu — tak jak się to pokazało w Magdeburgu!". Wśród ruin wojny 30-letniej potwierdzają sobie tę prawdę bohaterowie „Zaślubin w Magdeburgu", ale my wiemy, że słowa te kierują się do nas i do współczesnego świata. Gertruda von Le Fort milczała w czasie wojny, lecz milczenie to było wymowne. Zrodzone zeń przemyślenia śle nam pisarka i dziś jeszcze ze swej obecnej samotni w Oberstdorf, w południowo - bawarskich Alpach.

Charakterystyczna jest już sama sceneria powojennych książek Gertrudy von Le Fort. Akcja „Wieńca aniołów" dalszego ciągu „Chusty Weroniki" rozgrywa się wprawdzie wśród piękna architektury i przyrody południowo - zachodnich Niemiec, lecz na ten niezapomniany krajobraz rzuca już swój ponury cień faszystowska ideologia bohatera książki, znanego nam jeszcze z Rzymu Enzia, po trosze nietscheanisty i egzystencjalisty w niemieckim wydaniu. Jest to ideologia nihilizmu, nienawiści i zniszczenia; jej przezwyciężenie oraz ocalenie Enzia przez poświęcającą się miłość Weroniki, to już tylko program ideowy pisarki — prawda historyczna tamtych lat była inna; była to prawda straszliwej wojny i ruin i czytelnik nigdy o tym nie zapomina.

Sceneria wojny i ruin przewija się też przez wszystkie niemal ostatnie utwory Gertrudy von Le Fort „Zaślubiny w Magdeburgu" odbywają się w oblężonym i beznadziejnie opustoszałym mieście. *Te Deum*, które tragiczny zwycięzca, marszałek cesarski Tilly, każe odprawić w resztkach katedry grzebiącej pod swymi gruzami dwadzieścia tysięcy trupów, zmienia się tu w przejmujące *De Profundis*. Opowiadania: „Consolata", nagrodzone w r. 1948 zachodnio-niemiecką nagrodą literacką *Droste*, oraz „Córka Farinaty" mają jako tło zacięte i wyniszczające rozgrywki między Gwelfami i Gibellinami w miastach średniowiecznej Italii. Wreszcie akcja „Panny Barby" dzieje się znowu w okresie wojny religijnej XVII w., w klasztorze otoczonym przez plądrujące bandy. Ta uporczywa wizja wojen i zniszczenia wdraża się w pamięć czytelnika z obsesyjnością podobną do tej, jaka udziela się widzom „Matki Courage" Brechta, tym silniejsze budzi też echo ideowe memento brzmiące w poszczególnych utworach.

3.

TWÓRCZOŚĆ Gertrudy von Le Fort zawsze odznaczała się ogromną głębią i odpowiedzialnością. Teraz zmieniły się one w surową powagę. Pisarka wie, że miłość do własnego narodu czy do Kościoła nie zwalnia od postawy krytycznej, wprost przeciwnie, prawdziwa miłość do postawy takiej zobowiązuje. W odczycie wygłoszonym po wojnie w Zurychu i opublikowanym następnie pt. „Nasza droga poprzez noc" Le Fort nie ukrywa bolesnej prawdy o swym narodzie i jego postawie w latach wojny. Silne akcenty krytyczne pojawiają się również w jej twórczości artystycznej. Kierują się one nie tylko przeciw ojczyźnie niemieckiej, lecz tak samo przeciwko tak żarliwie ukochanej przez pisarkę historii Kościoła.

Kiedy bohaterka opowiadania „Sąd morza", żona króla-mordercy, uświadamia sobie, że *„przemilczając zbrodnię zgodziliśmy się na nią"*, czytelnik, zwłaszcza czytelnik niemiecki, nie może nie pomyśleć o ostatnich dziejach swego narodu.

W „Zaślubinach w Magdeburgu" błędy klasowego, feudalnego państwa łączą się z błędami Kościoła. Tilly na próżno prosi cesarza o odwołanie edyktu restytucyjnego, przywracającego Kościołowi — po wieku! — dobra zagarnięte przez Reformację. Arcykatolicki cesarz nie zapewnia Magdeburgowi wolności wyznania ani tolerancji i utrwala tym miasto w rozpaczliwym oporze. Gwałt, którego dopuszczają się katolicy dla przywrócenia świętej wiary, obraca się przeciw niej samej. Bohaterzy powieści pojmują w końcu, że nie można walczyć o Chrystusa bronią tego świata, a pewne odniesione tą drogą zwycięstwa są w istocie straszliwą klęską. Uświadamiając nam w przeszłości pomyłki chrześcijan i Kościoła, Gertruda von Le Fort czyni nas czujnymi wobec podobnych pomyłek dzisiejszych, wobec zjawisk uporczywego wiązania Kościoła z siłami politycznej i społecznej restauracji.

Tendencja krytyczna powojennego pisarstwa Le Fort prowadzi autorkę ku odróżnianiu błędów Kościoła od jego istotnej prawdy, odróżniania widzialnego i oficjalnego Kościoła od szerszego odeń Kościoła niewidzialnego. Pisarka dochodzi do przekonania, że prawdę Kościoła mogą niekiedy uosabiać właśnie jego pozorni, a nawet i rzeczywiści przeciwnicy.

W opowiadaniu „Córka Farinaty", które nadało tytuł powojennemu zbiorowi czterech opowiadań, nad całością akcji unosi się duch zmarłego niedawno, wyklętego przez Kościół ojca Bice, głośnego Gibellina florenckiego, Farinaty. Uniesiony miłością ojczyzny Farinata przerwał w pewnej chwili ponury ciąg zemsty i wojennych zbrodni, nie dopuścił po zwycięstwie swych stronników do zniszczenia gwelfickiej Florencji. Farinata umarł w opuszczeniu i obciążony klątwą, lecz jego czyn i zawarta w nim myśl żyje i zwycięży. Zrozumie ją jego ofiarna córka Bice, aby myśl tę przekazać młodemu Novello, który kiedyś zaślepiony zemstą odstąpił umiłowanego mistrza, nie umiejąc pojąć wielkości jego czynu. Jeszcze po latach dziedzicząca skutki papieskiej klątwy mała Bice Uberti usłyszy w dzień rezurekcji słowa pociechy z ust skromnego franciszkańskiego braciszka: *„Zmartwychwstały był też potępiony. To nie bezbożnicy, to pobożni ludzie Jego czasu powiesili Chrystusa na krzyżu... wyklęci mogą być też świadkami Bożymi; ojciec twój był nim i ty możesz się nim stać"*.

Uderzająca jest aktualność tego utworu. W konstrukcji jego akcji jeszcze raz wyraża się w sposób niezwykle konsekwentny i organiczny naczelna idea tego pisarstwa: idea obcowania dusz, przekazywalność dobra i zasługi. Lecz idea ta uzyskuje tu postać szczególnie nową i śmiałą. W centrum opowiadania staje zmarła postać wyklętego męczennika idei pokoju i miłosierdzia. I wbrew artystycznym trudnościom tematyki pozytywnej, tę właśnie postać czyni autorka zwycięską; przedziwnie wzrusza ona i porywa czytelnika swym zwycięstwem zza grobu. „Farinata" Gertrudy von Le Fort to zwycięstwo nowego typu chrześcijańskiego bohatera, bohatera na wskroś nowoczesnego. To wielkie ideowe i artystyczne osiągnięcie autorki i cnyba szczyt jej dotychczasowej twórczości.

W ostatnich utworach Gertrudy von Le Fort mistyka religijna nie przestaje służyć ostatecznym przeznaczeniom człowieka, zstępuje na ziemię, aby pomagać w porządkowaniu spraw ludzkiej wspólnoty doczesnej, aby wydać walkę złu. „Wieczna kobieta" (z nowych utworów pisarki) jest namiętną obrończynią życia: *„Jakże mogłaby brać na serio ten wieczny szczęk broni?... Jedno kwitnące drzewo powinno by wystarczyć, żeby broń wypadła z rąk ludzkich"*. Kobiety Le Fort uświadamiają sobie z rozpaczą, że można oduczyć się pokoju przez wojnę, jak mszy i świętości przez interdykty; lecz znają również siłę wyrzeczenia: *„Kto godzi się na ofiary, może mieć pokój w każdej chwili"*, *„Pokój! pokój! W ostatniej godzinie miejcie litość nad waszym miastem"* — woła w „Córce Farinaty" braciszek zakonu św. Franciszka i sam działa w duchu przebaczenia odrzucając na własną odpowiedzialność sprzed kościoła stos kamieni — znak interdyktu. — Podobnie cała powojenna twórczość niemieckiej pisarki jest przejmującym wołaniem o zapanowanie zgody i miłosierdzia.

Zaangażowawszy się tak w imię wieczności w sprawach swego czasu — wiemy, że i publicznie występuje autorka zdecydowanie przeciw nowej wojnie — późne pisarstwo Gertrudy von Le Fort nabiera przy całej swej powadze nieoczekiwanie barw jasnych, pogodnych. Nawet humor dochodzi w nim teraz do głosu. Sam wyjściowy pomysł „Córki Farinaty" (pokojowy rozkaz ludu florenckiego złączenia małżeńskimi więzami wojujących ze sobą rodów oraz opór, jaki decyzja ta wywołuje u patrycjuszy) ileż mają w sobie dobrotliwego uśmiechu. Za uśmiechem tym kryje się pewność, że zdrowy rozsądek ludu i dobro muszą zatriumfować.

W zakończeniu „Consolaty" legat papieski znajduje rozwiązanie dręczącej go od dawna zagadki zła. Uświadamia sobie, że *„rzeczywiście nie ma ono innej mocy, jak tylko tą, którą mu daje słabość dobra"*. Ten twórczy optymizm i wiara w siłę dobra i miłości osiąga swój szczyt w opowiadaniu „Plus ultra". Ta historia z czasów Karola V (który jest tu bohaterem dalszego planu) obrazuje zwycięską, bez najmniejszej straty, transpozycję miłości erotycznej w miłość mistyczną. Opowiadanie to, najbardziej romantyczne wśród utworów Le Fort, jest zarazem — przy całym swym wzniosłym tragizmie — najbardziej słoneczne.

U schyłku dzieła twórczego Gertrudy von Le Fort stajemy się świadkami zadziwiającej, choć ledwie dostrzegalnej, twórczej przemiany ideowej. Pisarka dawała w każdym ze swych dzieł pełną swą miarę, lecz jej religijność, nieco mroczna, pesymistyczna, zbyt jednostronnie „wieczna" w jej pisarskich początkach, zyskuje z każdym nowym utworem proporcje bardziej harmonijne. Mistyka, augustyńska z ducha, nie tracąc swych wartości, zbliża się do człowieka, nabiera niejako cech pokrewnych tomizmowi. Staje się po prostu mistyką coraz pełniej katolicką. Oddalając się od niebezpieczeństwa początkowego integryzmu, przenoszącego losy świata jednostronnie w zaświaty, autorka coraz silniej podkreśla w życiu historii i w życiu religijnym twórczy i odpowiedzialny czynnik ludzki. Gesta Dei — dzieła Boże w historii — widzimy to coraz lepiej — stają się przez ludzi — per homines.

Opowiadania Gertrudy von Le Fort, które czytaliśmy ostatnio w prasie katolickiej, są może najwyraźniejszym świadectwem tej radosnej, głęboko humanistycznej przemiany wielkiej niemieckiej pisarki.

Andrzej Odnowa

Wystawa Grafiki Radzieckiej

Prorokow W. — W kraju „dobrobytu"

Zukow M. — Przy telewizorze

Z cyklu ilustracji do „Wojny i Pokoju" Tołstoja.

W miesiącu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej umożliwiono nam poznanie osiągnięć radzieckiej grafiki. Otwarta w Warszawie bogata wystawa obejmuje ponad 400 prac o różnorodnej tematyce.

Najpoważniejszą częścią wystawy jest dział ilustracji. Zawiera on cały szereg cyklów ilustracji do wielu arcydzieł literatury („Wojna i Pokój", „Dyl Sowizdrzał", „Colas Breugnon") wykazują one imponujące bogactwo studiów przygotowawczych i wierność w odtworzeniu charakteru epoki.

Pejzaże czy portrety posiadają na wystawie równie opisowy charakter, co nadzwyczaj starannie i drobiazgowo opracowane cykle ilustracji. Wyrażenie treści czy nastroju, opis wydarzenia, to jest cel, któremu grafika radziecka podporządkowuje całe swoje rzemiosło, wielką umiejętność i zręczność rysunku. Dla grafika nie istnieje problem poprawnego narysowania postaci czy jakiegokolwiek przedmiotu w dowolnym skrócie — doskonale opanowany akademicki rysunek pozwala mu na realizację każdego twórczego zamierzenia.

Cykle grafik i rysunków Ponomariewa czy Żukowa wykazują troskę o jak największą wierność, o jak najbardziej szczegółowe opisanie modelu. Szczególną uwagę zwracają rysunki satyryczne, które odznaczają się swobodą i świeżością. Można tu wymienić akwarele Sojfertisa, a przede wszystkim rysunki i litografie Prokopowa. Szeroko i odważnie rysowane kompozycje wykazują ostrość i dynamikę. Prokopow jest może najciekawszą indywidualnością na wystawie. Jego demaskatorskie litografie z cyklu „Oto Ameryka" (świetny „Wiec") dają twórczą kontynuację satyrycznych rysunków Daumiera.

Cała wystawa jest bogatym pokazem umiejętności wiernego i dokładnego przedstawienia człowieka i życia. Posiada wielkie znaczenie dydaktyczne poprzez swoją tematykę — poprzez prawdziwe i sugestywne przedstawienie życia narodów ZSRR.

CIEŃ ELIZEJSKICH PÓL

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

KIEDY nad metropolią niebo rozgorzeje elektrycznym pożarem zapowiadając początek długiej nocy paryskiej, przed bramami niezliczonych teatrów miasta gromadzą się tłumy. Za chwilę uderzą gongi i pójdą w górę kurtyny. Przed ludźmi zebranymi na widowniach ludzie snujący się po scenach będą udawali innych ludzi — będą grali ich miłość i cierpienie, prawdę, kłamstwo i sny. Padną ze sceny słowa napisane setki lat temu albo wczoraj, wykołysane w sercach poetów albo ulepione ze śliny szyderców. Przed oczami widzów popłyną obrazy tak prawdziwe, jakby świat przeglądał się w zwierciadle albo zdeformowane i dziwaczne, niby sen szaleńca.

Gdyby można dokonać przekroju poprzez jeden teatralny wieczór Paryża, ujrzeć niejako panoramicznie naraz to, co się dzieje na wszystkich scenach tego miasta, odebrałoby się wrażenie oszołomienia: ilość, która przytłacza, bogactwo form i stylów, różnorodność tendencji i dążeń.

Paryż — miasto tętniące w tej chwili bodajże najsilniejszym życiem teatralnym na kontynencie reprezentuje właściwie wszystko, niczego jednak nie wybierając. Jest targowiskiem, na którym dostać można każdy efekt i znaleźć wszelkie smaki, jakimś dziwacznym muzeum, w którym się kolekcjonuje wszelkie wytwory epok i stylów — ale w tym wszystkim, na dnie oszołomienia, leży zapowiedź zmierzchu, pobrzmiewa niepokojące pytanie, co to wszystko oznacza? Brakuje — niestety — jednego elementu — czegoś, co można by nazwać wielkością.

WIELKIE BULWARY

Wbrew od dawna przyjętym poglądom życiu teatralnemu Paryża nadaje ton nie dostojna Komedia Francuska, odwieczny „Dom Moliera" — poświęcona wyłącznie repertuarowi klasycznemu i mimo prób wstrzyknięcia jej świeżych soków, martwiejąca w upartym konserwatyzmie; nie twórczość awangardy, trudna, wymagająca od widza wysiłku intelektualnego i traktowana przez szeroką publiczność jak koncesja na rzecz kapryśnych etranżerów; ani nawet tak świetny teatr literacki tworzony przez znakomitych pisarzy, prawdziwych mistrzów swego rzemiosła — ton nadają sceny wielkich Bulwarów, podporządkowane najściślej chęciom i wymaganiom publiczności, która się „liczy", publiczności doskonale mieszczańskiej.

Teatr bulwarowy wywodzi się z dobrych tradycji realistycznych. U jego początków stały komedie Henry Becque'a, autora „Kruków" i „Paryżanki". Publiczność ówczesną, przyzwyczajoną do melodramatu pielęgnowanego przez teatr Ambigu czy do feerii scenicznej w rodzaju, jaki kwitł na deskach sceny Châtelet — zafrapowała drapieżność w malowaniu obyczajów i demaskatorskie zapędy wobec obłudy mieszczańskiej. Ale następcy Becque'a kontynuują tylko stronę obyczajową jego utworów pomijając ich tendencje oskarżycielskie i realistyczne. Tak zwany „teatr miłości" w rodzaju płaskich komedii Porto Riche'a, dziś już klasyka, wikła i rozwiązuje konflikty wyłącznie wokół zagadnień erotycznych. Gatunek ten znajdzie później setki naśladowców. Sławny „trójkąt małżeński" będzie przez dziesiątki lat bez zmiany kanonem i podstawowym schematem tych komedii, będzie kanwą dla zawsze dowcipnych dialogów i dla pomysłowych, choć nie zawsze wyszukanych sytuacji. Niektórzy, jak płodna spółka komediopisarzy — Flers i Caillavet — zabarwi ten schemat kolorytem satyry politycznej i obyczajowej; inni, jak stary wyga Bulwarów, Henryk Berstein, obok konfliktu miłosnego wprowadzą bardziej dramatyczny problem pieniądza; jeszcze inni uderzą nawet w ton jak gdyby oskarżenia społecznego, tak jak to czasem się dzieje w komediach Pevret — Chapuis.

Wymienieni tu pisarze są prawdziwymi mistrzami gatunku, stanowią szczyty. Im to zawdzięcza współczesny teatr francuski sławę zgrabnej roboty literackiej, świetnie budowanych sytuacji, błyskotliwości i finezji dialogów. Ale obok mistrzów grasują całe sfory komediopisów dostarczających scenom bulwarowym płaskich i banalnych utworów, ocierających się nieraz o pornografię, a zawsze o grafomanię.

Więc, aby ratować degenerujący się rodzaj, aby elektryzować przesyconą publiczność, teatry szukają pomocy w dziwactwach, sięgają do utworów powstałych ze skrzyżowania pseudonadrealizmu z melodramatem. Tak powstaje drobnomieszczański „Hamlet" Gabriela Arout albo „Przedziwna Teodora" Jana de Latroze — sztuki dalekie od doskonałości Bersteina czy Duvala — zaledwie parodiujące styl i poetykę awangardy.

Bulwary są zachłanne i teatry w pogoni za żerem wchłaniają pisarzy o większych przedtem ambicjach, zmieniając ich w twórców przeciętnych komedii mieszczańskich. Taki los spotkał Stève Passeur'a, Acharda czy Sermanta. Ale to niewiele pomaga, publiczność zaczyna się nudzić. W pomoc przychodzi więc Broadway — i oto Paryż zaczyna przeżywać groźną inwazję teatru amerykańskiego.

ŚWIATŁA BROADWAY'U

Nowy Świat — który tak długo i bez skrupułów czerpał z kultury europejskiej — bierze odwet, przysyła Francji produkty obce jej umysłowości, niecierpliwiące trywialnością i brakiem smaku, czasem ciekawe jako dokument świadczący o prawdzie życia we współczesnych Stanach, rzadko, ale to bardzo rzadko, rewelacyjne.

W ten sposób Paryż mógł obejrzeć parę spektakli, które się stały wydarzeniami sezonu.

Ciekawe, że kraj, który tak zachwala wysoką stopę życiową i dobrobyt, najlepsze artystyczne wyniki osiąga w utworach mówiących o nędzy, bezrobociu i upodleniu. Do takich należeć będzie posępna „Śmierć komiwojażera", w której John Miller analizuje los prostego człowieka Ameryki, wypełniony bezskutecznym szukaniem pracy. Jeszcze bardziej ponury jest „Tramwaj, którego imię brzmi Pragnienie" Tenessee Williamsa. Pesymizm, patologia i brutalność są jedynymi barwami, które składają się w tym utworze na obraz życia drugiej półkuli. Do tego gatunku sztuk należy też „Droga tytoniowa" Erskine Caldwella — pisarza, który z okrutną obojętnością pokazuje ostatnie dna nędzy ludzkiej i zdziczenia.

Ale tego rodzaju osiągnięć dramat amerykański stworzył niewiele. Przeważają dziwaczne komedie, pełne zbrodni, trupów i detektywów, albo patologiczne historie, których tłem są szpitale dla umysłowo chorych. Modnym gatunkiem, coraz częściej przeszczepianym z terenu amerykańskiego, to utwory na temat zjaw i upiorów.

Przeciw panoszeniu się tandety bulwarowej, przeciw pospolitości mieszczańskiej tematyki królującej na scenie, wreszcie przeciw trywialnym farsom zza Oceanu czy monstrualnym a bezdusznym widowiskom rewiowym wielkich Music-Hallów — ale także i przeciw tradycjom i skostnieniom Komedii Francuskiej — występuje współczesna awangarda.

Zaczęło się jeszcze dawno, przed pierwszą wojną światową; Jakub Copeau, kierownik głośnego później teatru Vieux Colombier, umiał wytworzyć dookoła siebie atmosferę gorączki twórczej, narzucił zespołowi własne marzenia o scenie poświęconej kultowi czystej sztuki. Zbliżał się w tym Copeau do ideałów Stanisławskiego czy do założeń naszej Reduty.

Podnietę do eksperymentowania dają awangardzie rozprawy i książki teoretyczne Craiga i Stanisławskiego, inscenizacje Reinhardta, a także entuzjazm młodych poetów i aktorów.

W ten sposób powstaje jedna z najciekawszych epok teatru europejskiego — epoka nie osiągnięć, ale fermentu — poszukiwań, ale poszukiwań, powiedzmy od razu — jałowych, bo nie odnalazły wielkiego stylu ani recept na tworzenie arcydzieł.

U POETÓW

Nad całą współczesną twórczością dramatyczną we Francji góruje cień jej czołowego przedstawiciela — wielka indywidualność Jana Giraudoux, pisarza, którego George Pillement nazywa Racinem naszych czasów. Giraudoux należy do trójcy niejako symbolizującej najlepsze wartości, na jakie zdobyła się literatura mieszczańska minionego półwiecza.

Jego znaczenie w dziejach dramatu jest podobne do tego, jakie w dziedzinie poezji ma Paweł Valéry, a w prozie Andrzej Gide. Wszyscy trzej, mimo licznych różnic, które ich dzielą, i tak innych przecież rodzajów, które uprawiają, są zadziwiająco podobni w swej postawie etycznej, zimnej i obcej już pasjom współczesnego świata. Tak właśnie trzeba dzisiaj ocenić marmurowo chłodną i majestatycznie wyniosłą poezję Pawła Valéry, taką jest w istocie egoistyczna i amoralna proza Andrzeja Gide'a, taka właśnie ironiczna, olimpijska i nieczuła twórczość autora „Sodomy i Gomory". Teatr Giraudoux — kwiat i słońce dramaturgii Zachodu — to najwyższa niewątpliwie klasa pisarska — arcydzieło języka francuskiego — uwodzicielski czar formy. Ale właśnie ta artystowska, wyłącznie estetyczna i tak starannie odsunięta od żywego życia postawa wydzwania memento dla kultury zagubionej w labiryntach indywidualizmu — dla Sztuki, która zamiast brać udział w dramacie epoki, potrafi go tylko obserwować.

Wszyscy, którzy obecnie piszą dla teatru we Francji — i nie tylko we Francji — są w jakimś stosunku do twórczości Giraudoux: albo jej ulegają, albo próbują przezwyciężyć. Wymienimy tych, którzy świadcząc o już osiągniętych wartościach, pozwalają oczekiwać nowych. Sartre, Anouilh, Salacrou, Camus czy Supervielle — na nich wszystkich zaciążył cień poetycki giraudouańskiej — innymi jednak poszli drogami, do innych niż mistrz dochodząc celów.

Filozoficzny teatr Sartre'a rozwiązuje konflikty stawiające w ich miejsce znaki zapytania albo oskarżenia skierowane do nikąd („Muchy"). Teatr Armanda Salacrou propaguje poprzez wymowę ostrych środków ekspresji i deformacje kompozycji tezę o nieustannej śmierci, o niszczącym działaniu czasu („Nieznajoma z Arras"). Supervielle zaprasza do ucieczki w świat baśni i fantasmagorii („La Belle au bois dormant"). Camus, najbliższy tragedii klasycznej, głosi bezsilność wielkich poczynań wobec nieubłaganego mechanizmu losu („Malentendu"). Może najbardziej jeszcze ludzka i bliska nam jest idea Anouilha: ukryte współczucie dla cierpienia, solidarność z nieszczęściem, z tymi, których skrzywdzono. Jeden z najpiękniejszych utworów, jaki napisano w ostatnim dziesięcioleciu — „Antygona" — mówi o niemożności szczęścia w okrutnym świecie egoizmu.

Ci wszyscy pisarze, niepospolici mistrzowie słowa, operujący wspaniale techniką dramatu, umieją narzucić swe wizje z siłą sugestii i z nieodpartą wymową artyzmu. Ale pokarm, jaki niosą swym widzom, jest gorzki, zatruty pesymizmem i trudny do przełknięcia jak łzy.

DWA TEATRY

Dwie różne koncepcje estetyki scenicznej, dwa style gry, dwie zupełnie inne linie repertuaru — dwa, niepodobne do siebie systemy pracy nad warsztatem teatralnym, ale te same punkty wyjścia i wspólny entuzjazm dla spraw prawdziwej sztuki — ta sama wreszcie w obu teatrach publiczność.

Ludwik Jouvet i Jan Ludwik Barrault wywodzą swą genealogię z tej samej awangardy, którą niegdyś zainicjował Jakub Copeau — obaj są uczniami Karola Dullin i obaj mieli odwagę walczyć o prawdziwy teatr.

Théâtre de Marigny, którym rządzi rozwichrzony i nerwowy Barrault, mieści się przy najwspanialszej ulicy Paryża — przy Polach Elizejskich, na których można spotkać wszystko, co wielkoświatowe i kosmopolityczne. Scena tego teatru bacznie nasłuchuje głosów mody. Dlatego jest ekspozyturą zawsze nowych, zawsze frapujących, choć niestałych kierunków. W pogoni za nowym dreszczem Barrault wprowadza na deski swego teatru utwory o charakterze ekspresjonistycznym („Proces" Kafki) albo związane z ruchem egzystencjalistów („Stan oblężenia").

Jego scena intryguje atmosferą nieustannej niespodzianki. Wszystko tutaj nabiera odblasków niezwykłości, świat i ludzie zatracają właściwe proporcje — zamiast konkretu — symbole, zamiast tradycyjnej techniki gry — pantomima i taniec, często po prostu histeria.

Nic ze spokoju i stabilizacji. Scena Marigny niby czujny sejsmograf sygnalizuje niepokój epoki i trwogę klasy, która straciła wiarę w sens własnej egzystencji.

Spokój i umiar, przywrócenie wagi odwiecznym i rdzennie narodowym cechom umysłowości francuskiej, powrót do jasności wyrazu, do precyzji i do wytworności, powściągliwość w poszukiwaniach — oto cechy, które uderzą każdego, jeśli nawet przelotnie spojrzy na działalność. *Théâtre de l'Athenée*, założonego i prowadzonego do niedawna przez Jouveta.

Ale ta złudna świetność, jak niejedno z nocnych świateł Paryża, ów klasycyzm, spokój i godność są w rzeczywistości tylko jeszcze jednym sposobem uchylania się od rozczeń, które stawia niecierpliwa epoka — jeszcze jednym ze sposobów — dodajmy, że świetnie zamaskowanym — wyrażenia tym czasom pogardy.

CZYNY VILARA

Nie — nie na Polach Elizejskich, w blaskach sztucznej świetności, ale na przedmieściach, w dzielnicach robotników, w garażach albo pod gołym niebem — i nie przed międzynarodową i odświętną publicznością stolicy, ale przed zwykłymi ludźmi codziennego dnia Jean Vilar gra wielkich klasyków: Szekspira, Moliera, Wiktora Hugo. Dzielny dyrektor sławnego już *Théâtre National Populaire* nie boi się spiętrzonych przeszkód. Choć jego zespół nie ma stałej siedziby, choć rozporządza tylko jednym wozem ciężarowym, na którym jeździ po całej Francji, choć strona finansowa imprezy grozi nieustannie katastrofą, choć sam pomysł ma tylu wrogów. Vilarowi wystarczy entuzjazmu aby realizować z uporem swą piękną ideę. Vilar po prostu znalazł sposób uzdrowienia teatru francuskiego. Możliwość tę widzi w nawiązaniu kontaktu z nowym, wrażliwym i chłonnym widzem, przez nawrót do najlepszych tradycji przeszłości, przez kult arcydzieła.

Niech nikt nie sądzi, że widowiska Vilara w czymkolwiek przypominają działalność amatorów. Jego teatr jest wzorem inwencji i trudu reżyserskiego, aktorzy, z którymi pracuje, to znakomici artyści o nazwiskach niekiedy głośnych w świecie. Vilarowi udają się rzeczy niebywałe, potrafi odświeżyć i nasycić nowym urokiem utwory zdawałoby się przestarzałe albo zgoła zapomniane. Tak stało się z dramatem Wiktora Hugo „Ruy Blas". Vilar postanowił walczyć z Paryżem, z jego chorobliwą atmosferą, montuje więc swe utwory również na prowincji, w Rouen, w Awinionie, dając im za tło dostojny dziedziniec pałacu papieskiego.

Vilar przemierza ze swym zespołem cały kraj; wystawia dzieła klasyków na jarmarkach, w miasteczkach, pod gwiazdami. Podobny w tym do prób Copeau, do entuzjazmu Garcia Lorki, który tak właśnie jeździł po Hiszpanii ze swoją „Barrancą".

Vilar jest przepełniony pomysłami, wie dokładnie, do czego dąży, cieszy się, że jego idea zdobywa coraz więcej entuzjastów.

Vilar powiedział niedawno w wywiadzie udzielonym prasie: Człowiek teatru musi najpierw służyć narodowi.

Jak dotąd, Vilar jest wierny temu dumnemu zdaniu i służy kulturze francuskiej tak, jak żaden może z jego współczesnych.

Mikołaj Bieszczadowski

Louis Jouvet i Madeleine Oseray w „Korsarzu" Acharda

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Gerard Philipe

Do najpopularniejszych postaci aktorskich, których talent rozbłysł po ostatniej wojnie, należy dziś niewątpliwie Gérard Philipe — postać od lat urzekająca wszystkich widzów niezrównanym osobistym czarem, bezpośredniością, ogromną skalą niesłychanie prostych środków gry aktorskiej. Ilość sympatyków Gérarda Philipe'a rośnie wprost proporcjonalnie do zdobyczy w zakresie dojrzałości środków ekspresji aktorskiej i nie ma już dziś wątpliwości, że szereg jego kreacji przejdzie do historii filmu.

Urodzony na Riwierze — tamże rozpoczął Gérard Philipe swoją drogę aktorską. W 1942 r., po przerwanych okupacją niemiecką studiach aktorskich w Paryżu, wyjeżdża do Cannes, gdzie spotyka się z bawiącym tam na występach zespołem teatru Claude Dauphina, który objeżdża Francję z klasycznym i nowoczesnym repertuarem. W zespole, w którym występują takie osobistości teatru, jak Barrault, Fresney, Jouvet, debiutuje młody Philipe zdobywając świetną szkołę i aktorskie ostrogi.

Debiut filmowy Philipe'a nastąpił już w rok później w Nicei, gdzie grupował się częściowo ewakuowany z Paryża przemysł filmowy. Pierwsza rola w filmowej komedii „Dziewczęta z wybrzeża kwiatów" przeszła jednak bez żadnego echa. Dopiero rok 1945 przynosi sukces. Nazwisko jego jest na ustach całego Paryża, który zachwyca się świetną kreacją Księcia Miszkina w adaptacji filmowej powieści Dostojewskiego „Idiota". Dzięki temu filmowi (zrealizowanemu przez George Lampina) młody aktor staje się również popularny i za granicą, filmowa bowiem wersja tego klasycznego dzieła literatury rosyjskiej zdobyła uznanie poza Francją, jako jeden z lepszych filmów pierwszych lat powojennych.

Rola Miszkina odeszła jednak w cień już następnego roku. Przesłoniła ją nowa kreacja Philipe'a w „Diable wcielonym". Jego Franciszek w adaptacji filmowej powieści Raymonda Radiguet'a, rozpoczął pasmo nieprzerwanych triumfów uwieńczonych różnymi nagrodami na międzynarodowych festiwalach. Dramat psychologiczny dwojga młodych kochanków znalazł w tytułowych odtwórcach (jako partnerka Franciszka grała w tym filmie Micheline Presle) niezastąpionych wykonawców. Młody student Franciszek wyposażony został przez Philipe'a w niezwykle różnorodny i bogaty repertuar nastrojów i stanów psychicznych, w żywiołowy ale jednocześnie graniczący z dziecinnadą temperament młodego kochanka, w świeżość i czar młodości.

Od pracy w „Diable wcielonym" z reżyserem Claude Autant-Lara przechodzi Philipe do kreowania romantycznego bohatera w filmie Christian Jaque'a „Pustelnia Parmeńska". Praca na rolą Fabrycego trwa przez cały 1947 rok, ale chyba sam Stendhal nie wymarzyłby sobie takiego odtwórcy dla swego głównego bohatera: jest tak wspaniały i pełny w swym wyrazie, słowie, geście. Jest na miarę tych bohaterów, których obraz przekazała nam wielka literatura.

W roku 1948 Philipe gra w dwu filmach: „Mała cicha plaża" i „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu". Pierwszy z nich — to egzystencjalistyczny dramat, zrealizowany przez Yves Allegret; drugi jest nieciekawą komedią.

W następnym roku Philipe podejmuje znów główną rolę w filmie René Claira „Diabelska piękność". Praca trwa też przez cały rok, ale przy współpracy z Clairem — Philipe staje się doskonałym odtwórcą bohatera Goethego jest niezwykle czarujący w swojej ufności w potęgę młodości i miłości. I całkiem odmienny niż w dotychczasowych postaciach odtwarzanych młodych bohaterów.

Rok przed rozpoczęciem realizacji „Fanfana Tulipana" z Chrystianem Jacquem upływa Philipe'owi na kreowaniu kilku mniejszych ról w filmach „Krąg", „Zagubione wspomnienia", „Julia czyli klucz marzeń" (ten ostatni zrealizował Marcel Carne). Fanfan Tulipan — był legendarną postacią opowiadań ludowych. Od czasu kreacji Philipe'a Fanfan całkiem się ucieleśnił — tak wszechstronnym bogactwem życia nasycił tę postać młody aktor. Po skończeniu filmu „Fanfan Tulipan", Philipe powraca ponownie do René Claira, by w najnowszym jego filmie „Nocnej piękności" kreować tytułową rolę. Praca znów trwa rok — i Philipe błyszczy tu znów wszechstronnością talentu. Gra rolę młodego muzyka, który we śnie przeżywa przygody w różnych epokach historycznych i oczywiście w każdej z nich występuje w innym kostiumie i stylizacji historycznej. Zbędne jest chyba zapewnianie o mnogości repertuaru środków ekspresji aktorskiej.

Rok 1953 przynosi nowe świetne kreacje: lekarza alkoholika w filmie Allegreta „Pyszni" według dramatu Sartre'a, sofistycznego młodzieńca w „Villa Borghese" i cynicznego uwodziciela w „Panu Ripois". Ostatnio Philipe od dłuższego czasu pracuje z reżyserem Autant-Lara nad rolą Juliana w „Czerwonym i czarnym" Stendhala.

Tak pokrótce wygląda dziesięcioletni dorobek filmowy Philipe'a. A przecież jednocześnie — obok pracy w filmie — ten młody aktor występuje na deskach scenicznych, jest czołowym aktorem w teatrze Vilara. I jak w filmie, tak i na scenie święci triumfy, grając w repertuarze i nowym, i klasycznym. Od „Sodomy i Gomory" Giraudoux, we „Fryderyce" Lorki, w „Kaliguli" Camusa u Daphina — po „Cyda" Corneille'a, „Hamburskiego księcia" Kleista, „Ryszarda III" Szekspira, „Ruy Blas" Hugo.

Gérard Philipe w filmie „Diabelna piękność".

Philipe występuje także w telewizji, nagrywa komentarze do filmów dokumentalnych. Obok tak ożywionej działalności artystycznej wiele czasu poświęca na udział w ruchu obrońców pokoju i walki o niezawisłość kinematografii francuskiej. Jest — w pełnym tego słowa znaczeniu — wielkim artystą naszych dni.

Andrzej Odolański

HENRYK KMITA

„CZTERY ZBRODNIE KATARZYNY" czyli habent sua fata libelli

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł T. Bielickiego pod tytułem „Kto zabił Ritę Croy?" („Dziś i Jutro" nr 37), traktujący o powstaniu, rozkwicie i upadku powieści kryminalnej. Artykuł ten przypomniał mi zasłyszaną ongiś historię o pewnym pisarzu rosyjskim, który w czterdzieści kilka lat po śmierci, zamykającej jego bogaty i poważny dorobek twórczy (napisał szereg powieści i świetnych opowiadań) zadebiutował nagle jako autor mrożącej krew w żyłach noweli kryminalno - sensacyjnej pt. „Cztery zbrodnie Katarzyny".

A było to tak:

W początkach lat trzydziestych, w jednym z wojewódzkich miast Polski, niejaki Albin Kudełko, były komiwojażer i pośrednik handlowy, wzbogaciwszy się na jakiejś ciemnej transakcji, postanowił zmienić branżę i założył wydawnictwo. Pan Albin zapragnął oto być naczelnym redaktorem. Pragnieniu jego stało się zadość. Wynajęty został odpowiedni lokal, powołano do życia redakcję, w której skład weszło kilku speców od propagowania sensacyjno-erotycznych szmir rodzimej i obcej produkcji. Machina poszła w ruch. „Redaktorzy" dostarczali materiału, pan „szef" akceptował i co trzy tygodnie mieszkańcy miasta zaczęli otrzymywać — w cenie 20 groszy za egzemplarz — szczególnego rodzaju „strawę duchową". „Skrwawiony naszyjnik", „Potworna zbrodnia kelnera", „Zemsta kościotrupa", „Przygody kurtyzany" — głosiły winiety broszurek pana Albina, niezradko ozdobione odpowiednimi rysunkami lub montażami fotograficznymi. Interes szedł. Pan Kudełko miał dobry pomysł.

Najbardziej rzutkim pracownikiem w interesie pana Albina był pewien bezrobotny nauczyciel języka polskiego. Wyniknła w swoim czasie różnica zdań między nim a kuratorem okręgu szkolnego, uniemożliwiła raz na zawsze obarczonemu liczną rodziną pedagogowi pracę w szkole.

Regularnie co trzy tygodnie p. Albin odbywał ze swymi podwładnymi „naradę produkcyjną", w czasie której akceptował lub odrzucał zdobyte przez nich materiały do najbliższych numerów. Pan Albin rozkoszował się swym gabinetem, swym fotelem i biurkiem, za którym prezydował. Rozkoszował się swym tytułem — swą władzą. Imponowało mu również, że wśród swych pracowników ma autentycznego profesora, chociaż to był tylko nauczyciel gimnazjum. Jednakże p. Kudełko, który lubił wiedzieć wszystko o swych podwładnych, wiedział i to, że profesor M. ma za sobą kilka publikacji z zakresu literatury, że tylko niepomyślne okoliczności nie pozwoliły mu na kontynuowanie kariery naukowej.

Zebranie, jak zwykle otworzył szef.

Panowie! Nie mamy dużo czasu, a czas to pieniądz! Do numeru 65 idzie „Samobójstwo nieboszczyka" — jest to zasługa redaktora Kowalskiego, który wynalazł to opowiadanie i przetłumaczył. W numerze 66 damy „Z pamiętników włamywacza" — to nam przygotował redaktor Gwoździk — akceptuję, akceptuję, bardzo dobre... Natomiast, proszę panów, nie jest mi wiadome, co pójdzie w numerze 67. No, proszę, kto ma jakiś projekt?

— Ja mam — odezwał się wtedy profesor.

— Pan, profesorze? — zdziwił się szef. — No, doskonale! Cóż to takiego?

— Jest to, krótko mówiąc, historia czterech morderstw pięknej młynarki...

— Świetnie! Proszę o bliższe szczegóły!

— Rzecz dzieje się w carskiej Rosji. W pewnym powiecie mieszka młynarz ze swą młodą żoną, Katarzyną. Mąż udaje się w podróż, a znudzona Katarzyna nawiązuje romans ze swym parobkiem, Sergiuszem. Kiedy teść zaczyna jej robić z tego powodu wyrzuty, Katarzyna podaje mu w jedzeniu truciznę. Kiedy wraca mąż, oboje z Sergiuszem zabijają go, a trupa chowają w piwnicy...

— Coś wspaniałego! Dalej, dalej...

— Następnie również oboje mordują młodego chłopca, który ma dziedziczyć część spadku po mężu. Ta zbrodnia zostaje jednak wykryta przez okoliczną ludność i zbrodnicza para kochanków po publicznej chłoście, w kajdanach wędruje na Sybir.

— Aj, aj! Profesorze, pan jest cudowny! Gdzież pan to wynalazł?

— To jest z rosyjskiego... Napisał Mikołaj Leskow.

— Leskow? Mikołaj? — wydął wargi pan Albin. — Nie znam takiego, ale to nic. Ja to akceptuję. A tytuł?

— „Lady Makbet mceńskiego powiatu".

— Jak? Ledimak...? Nic nie rozumiem! Przecież pan powiedział, że ta morderczyni nazywa się Katarzyna, a tu jakaś Ledimakbyk, czy jak? Co to jest?

— Autor nawiązuje do znanego dramatu Szekspira...

— Ale, panie, co pan mnie będzie z Szekspirem wyjeżdżać! Nam Szekspir nie potrzebny! Rzecz jest dobra, ale musi być i dobry tytuł. Pan przecież wie, profesorze: reklama jest dźwignią kultury! — wyrzekł p. Albin z patosem swoje ulubione motto.

Profesor M. musiał przystać na „uatrakcyjnienie" opowiadania Leskowa przez nadanie mu tytułu „Cztery zbrodnie pięknej Katarzyny". W krótkim czasie nakład został wyczerpany. W ten sposób zacny pedagog „przemycił" w wydawnictwie p. Kudełki parę opowiadań Czechowa, a nawet jakiś utwór samego Lwa Tołstoja.

Habent sua fata libelli...

DZIŚ, w odrodzonej Polsce, „mrożące krew w żyłach" dzieje Katarzyny otwierają pierwszy tom „Utworów wybranych" jednego ze znaczniejszych klasyków literatury rosyjskiej — Mikołaja Leskowa w doskonałym przekładzie J. Wyszomirskiego. Opowiadanie pt. „Powiatowa Lady Macbeth" nawiązuje do starych tradycji rosyjskiego dramatu ludowego, tak znakomicie ukazanego w sztukach Aleksandra Ostrowskiego. Użyte w tytule opowiadania imię szekspirowskiego Macbetha, bohatera klasycznej w literaturze światowej tragedii ambicji, też nie jest rzeczą przypadku. W pomrokach carskiego obskurantyzmu marnowały się i ginęły bezużytecznie setki tysięcy ludzkich istnień, które nie umiały znaleźć swego właściwego miejsca w społeczeństwie.

Ale wróćmy do Leskowa. Leskow jest mało znany naszym czytelnikom, zwłaszcza czytelnikom młodszego pokolenia. A szkoda. Zresztą rzecz jest do odrobienia, tym bardziej, że jest to pisarz dość niezwykły, a większość jego utworów — mam oczywiście przede wszystkim na myśli te, które wydał „Czytelnik" — potrafi przykuć uwagę czytających.

Jeśliby ktoś zapytał, co stanowi główną cechę twórczości Leskowa, można na to odpowiedzieć po prostu: wielka oryginalność. Oryginalny język i styl, oryginalność w doborze tematyki. Ta właśnie cecha pióra Leskowa skłoniła Juliana Tuwima do dokonania przekładu świetnej „Opowieści o tulskim zezowatym mańkucie i o stalowej pchle". Ta pochwała sprytu i zdolności, tkwiących w narodzie rosyjskim napisana jest językiem ludu, w którym wyrażenia gwarowe mieszają się z przekręconymi najdziwaczniej wyrażeniami inteligencji, co w sumie daje przekomiczny efekt.

W omawianej publikacji do najciekawszych — poza wymienionymi już opowiadaniami — zaliczyć należy osobliwe dzieje „Łąciarza", dalej niezwykłe i nader smutne, bo w szpitalu psychiatrycznym zakończone losy Onufrego Perehuda („Igranie z bałwanem"). Trzeba dodać, że do tego ponurego przybytku zaprowadziły go liczne niepowodzenia na stanowisku prystawa, czyli urzędnika policji, tępiącego wszelkie przejawy „nieprawomyślności" wobec carskich porządków. Znajdujemy dalej ucieszną historię o ambicji posuniętej do absurdu pt. „Żelazna wola" i wiele, wiele innych, w których opisane są obyczaje i zabobony, troski i radości, a niekiedy i przejawy wstecznictwa i zacofania ludu rosyjskiego, którego życie poznał Leskow, jak mało kto przed nim.

O ile świetne opowiadania autora „Powiatowej Lady Macbeth" predestynują go zdecydowanie do roli twórcy ludowego, o tyle z jego bogatym, ale bardzo nierównym — tak ideowo, jak i artystycznie — dorobkiem powieściowym, sprawa ma się nieco inaczej. Tak więc np. powstałe w latach siedemdziesiątych powieści „Soboriania", „Anioł z pieczęcią" czy też „Na końcu świata" określają go jako nestora realizmu krytycznego, natomiast utwory z okresu o dziesięć lat wcześniejszego, jak „Skrzywdzone" i „Na noże", a zwłaszcza w pewnym sensie politycznie programowa powieść pt „Bez perspektyw" — stawia go w rzędzie skrajnie reakcyjnych pisarzy, walczących z postępem i jawnie atakujących działaczy demokratycznych owego okresu.

Czym można to sobie wytłumaczyć?

Leskow, człowiek niezwykle utalentowany, genialny samouk, przebył długą i ciężką drogę życiową i ideologiczną, w której błądzącemu nieraz w poszukiwaniu prawdy zdarzało się również trafić i do obozu skrajnych reakcjonistów, co nie przeszkodziło mu u schyłku życia zrozumieć swe błędy i nawrócić do wyznawanych w młodości przekonań postępowych. Nie tylko twórczość Leskowa była oryginalna i niezwykła. Niezwykłe, pełne wewnętrznych sprzeczności i konfliktów z otaczającą go rzeczywistością było jego życie. (Interesująco o tym pisze we wstępie do „Utworów wybranych" Natalia Modzelewska).

Opowiadania Leskowa mają pewną ogromną zaletę, gwarantującą im popularność wśród najbardziej zróżnicowanych warstw czytelników. Nie tylko są ucztą duchową dla wytrawnych smakoszów literackich, ale dzięki swej atrakcyjności, dzięki interesującej fabule przyciągają nawet owych amatorów... „Czterech zbrodni Katarzyny", w sposób niedostrzegalny, ale za to całkiem pewny, ucząc ich... smaku artystycznego i zamiłowania do wielkiej literatury klasycznej.

Henryk Kmita

NADPRZYRODZONE I HISTORIA

(Dokończenie ze str. 3)

błąd nie wystarczy go sprecyzować, trzeba dojść do jego źródeł i wskazać, jaki prąd prawdy ubocznie go zasila. W początku naszego stulecia chrześcijańska świadomość polityczna tam, gdzie nie była tylko i po prostu konserwatyzmem, pozostawała pod wpływem ostatnich żarów romantyzmu i mieszkała w sposób niezbyt określony elementy polityczne, religijne oraz porywy serca. To właśnie było jedną ze słabości „Sillon" i na ogół prądu chrześcijańsko - demokratycznego. *Action Française* przeciwstawiła temu wyostrzoną świadomość autonomii polityki w przynależnej jej dziedzinie, tak jak scjentyzm przeciwstawiał pojęcie autonomii badań naukowych. *Action Française* nie poprzestała wszakże na rozróżnieniu i zaczęła głosić rozdział; ta właśnie teza została potępiona w roku 1925. Niebezpieczeństwem, które czyha nazajutrz po każdym potępieniu, jest przyjmowanie jako prawdziwych twierdzeń przeciwnych twierdzeniom potępionym, gdy tymczasem nader często potępienie odnosi się tylko do rozćwiartowania dwóch przeciwieństw dialektycznie ze sobą powiązanych. W latach, które poprzedziły wojnę, środowiska młodzieży katolickiej oraz ich kierownicy w reakcji na tezę „Polityka przede wszystkim", rozumianej w ciasnym i zamkniętym znaczeniu, przechodziły na stanowisko koncepcji „czysto duchowej" istoty katolickiego życia społecznego; z perspektywy chrześcijańskiego poglądu na świat było to jednak stanowisko błędne, „nieczysto" duchowe, skoro to, co duchowe, ma swe korzenie w doczesności. Pozbawione koncepcji politycznej oraz ekonomicznej, pokolenia te, gdy stanęły wobec problemów ekonomicznych lub politycznych, usiłowały je rozwiązać w tym klimacie, w jakim one same zostały ukształtowane, przez zastosowanie racji duchowych do problemów praktycznych, za pośrednictwem niejasnej dobrej woli oraz ocen moralnych. Młodzież nasza już w latach trzydziestych żywo reagowała na odrodzenie się tego rodzaju nieporozumień. Uświadomiliśmy sobie, że do problemów praktycznych trzeba podchodzić przy pomocy ścisłej analizy politycznej lub ekonomicznej, nie dając dostępu pośredniczącym ocenom moralnym, oraz idealistycznym, tym fałszywym sługom tego co duchowe. Trzeba stworzyć na nowo kościec poznania oraz postępowania w świecie o silnej strukturze, w którym obecnie żyjemy. Same zamiary nie wystarczą do zaopatrzenia go w kości oraz muskuły. Lecz pracując nad budową kośćca, nie można zapominać o całości organizmu chrześcijańskiego i o tym, że ów kościec może być źródłem ruchu dla gestów śmierci lub gestów życia. Toteż równie żywo powinniśmy reagować zarówno na próby rozdzielenia jak na pomieszanie dwóch rzeczywistości. Nie jest rzeczą zbędną, gdy na kontretne losy łaski pada spojrzenie ekonomisty, jak również wejrzenie łaski nie jest bezużyteczne dla konkretnych losów ekonomii.

Życie wiary katolika jest zaszczepione na wierze Kościoła nie pozostając doń (o ile jest to wiara żywa) w stosunku zewnętrznym ślepej uległości wobec autorytetu, lecz w stosunku głębokiej, życiodajnej jedności; *sentiat cum Ecclesia.* Jakież jest zatem stanowisko całego Kościoła wobec tego, co czytać można w historii? Ona również żyje w tajemnicy wiary. Czy mamy jednak stąd wyprowadzić wniosek, że Kościół nauczający jest w tej samej mierze co rozum naturalny niezdolny do wyjaśnienia sensu historii, czytanej w sposób częściowy, niedostateczny, koniunkturalny — jedyny możliwy w ciągu drogi, w miarę następowania wydarzeń? Sądząc tak zapomnielibyśmy o pomocy władz ducha. Nie znaczy to, by ludzie Kościoła i teleogowie mieli posiadać jakąś wyższą wiedzę o problemach cywilizacji jako takich, aniżeli ta, którą może zdobyć rozum naturalny, nie znaczy to też, by mogli z absolutną oczywistością poznawać drogi Boże, nawet w odniesieniu do nadprzyrodzonych przeznaczeń. Sądzę, że żaden z nich nie ośmieliłby się dziś stanowczo wyrokować, czy nawrócenie Konstantyna przyniosło Kościołowi zło czy dobro, ani czy ustrój ekonomiczny typu socjalistycznego jest bardziej pożądany dla rozwoju Królestwa Bożego niż ekonomia wolnorynkowa. Lecz Kościół w swojej władzy rządzenia nie jest pozbawiony pomocy i władza ta, choć odnosi się bezpośrednio do historii świętej, nie może — ze względu na organiczne powiązanie porządków — nie wpływać pośrednio na historię świecką, na jej pojmowanie i różne wybory, jakich w niej należy dokonywać.

Kościół sam zakreślił granice swemu czytaniu historii i w doktrynie zachowywał je znacznie surowiej, niż to miało miejsce w praktyce klerków. *Występując przeciw tezom cezaro-papistycznym utrzymywał zawsze, że społeczeństwo świeckie i jego rządy oraz rozum i jego władze mają w swoim zakresie naturalną autonomię. Można więc było powiedzieć, że idea państwa i społeczeństwa laickiego jest ideą chrześcijańską i znajduje oparcie wyłącznie w mocnym pojęciu transcendencji.* Kościół wycofuje się z wielu sporów, w których od średniowiecza był stroną. Nie jest to jednak równoznaczne z odsunięciem się od świata — przeciwnie, Kościół skupia swe siły, by w sposób najbardziej istotny, a zarazem w ostatecznym wyniku najbardziej skuteczny być współobecnym; w obecności tej nie ma nic z narzucania się ani tym bardziej z żądzy władzy, istotą jej — podobnie jak obecności Bożej — jest płomienna dyskrecja.

tłum. Ewa Krasnowolska

*) A. Bouyssonie „La Discrétion de Dieu", Révue Apologétique, 13 wrzesień 1926.

EKSPERYMENT MENDES-FRANCE'A

(Dokończenie ze str. 3)

darczych i w sprawie niemieckiej może zagwarantować Mendèsowi rzeczywistą i trwałą większość parlamentarną opartą o zwartą opinię publiczną. Mendès France przy wszystkich swych zdolnościach jest jednak tylko burżuazyjnym mężem stanu, jakkolwiek zależy mu bardzo na opinii publicznej, której reakcje czuje i rozumie, to jednak nie zerwie on dziś w sposób ostateczny więzów łączących politykę francuską z obozem kapitalistycznym, pod presją amerykańską chwytać się będzie różnych półśrodków, z których żaden nie będzie jednak prawdziwym rozwiązaniem problemu niemieckiego, bądź to zagadnień gospodarczych.

Wyczuwając tę zasadniczą słabość nowego rządu przywódcy prawicy dążą konsekwentnie do dalszego izolowania go od kontaktu z szeroką opinią francuską i uczynienia w ten spoób bardziej powolnym narzędziem w ich rękach. Charakterystyczne są pod tym względem podejmowane od dłuższego czasu próby wywołania konfliktu między nowym parlamentem a katolicką opinią publiczną.

MENDÈS-FRANCE A OPINIA KATOLICKA

Premier jest radykałem, co zresztą nic nie znaczy, gdyż partia ta z zasady nie posiada programu Niemniej w tradycjach tej partii leży antyklerykalizm, leżą stare, dziewiętnastowieczne spory z katolikami. Konflikt MRP — Mendès France może się łatwo przerodzić w bezsensowną wojnę religijną z całym demagogicznym balastem zagadnienia szkolnictwa we Francji. Wówczas to nowe wybory, miast toczyć się wokół zagadnień istotnych, jak problem niemiecki, jak reformy gospodarcze — zamieniłyby się w generalną batalię między katolikami i antyklerykałami, przy czym cała reakcja walnie poparłaby oczywiście „świętą sprawę". W ten sposób można zyskać brakujące głosy, licząc, że wbrew własnym interesom pewna część mas pracujących odżegnałaby się od zbawiennego dla Francji programu.

„Nigdy tak jaskrawo jak obecnie, pisze na ten temat „Témoignage Chrétien", odważnie demaskując ten manewr, nie ujawnił się fakt, że MRP istotnie jest partią, angażującą katolicyzm francuski. Biorąc pod uwagę wrażliwość mas katolickich, stan ducha, jaki opanował ich prasę i redaktorów, można z całą nieomal pewnością powiedzieć, że wynikiem tego stanu rzeczy będzie ogólne zaostrzenie się, poczynając nawet od spraw błahych, nawet o drugorzędnym znaczeniu. Postawa ludzi, otaczających Mendès France'a i niektórych przywódców MRP może doprowadzić do tego, że opinia katolicka — która jutro mogłaby stać się bardzo silną podporą rządu, szczególnie jeśli chodzi o zagadnienia Afryki Północnej — przeciwstawi mu się jednomyślnie. Powołutku katolicy zaczną odgradzać się w swoim getcie, a małe, lewicowe ugrupowania nie będą w stanie stworzyć przeciwwagi w stosunku do tego zjawiska..."

Jakkolwiek duże są niewątpliwie różnice między prawdziwą lewicą a Mendès Francem — to nie ulega wątpliwości, że wszyscy przyjaciele Francji pragną, by ten eksperyment nie poszedł na marne. Przeciwnie, życzymy mu, by się rozwijał i umacniał, jako szczebel na drodze wiodącej od reakcyjnej kapitulacji ku postępowi i rozwojowi Francji. Rola katolickich środowisk we Francji, a zwłaszcza katolickiej lewicy jest w chwili obecnej bardzo poważna. Ostrzeżenie „Témoignage Chrétien" zaś — jak najbardziej uzasadnione.

Wydawać się jednak może jako pewne, że wszystkie wartościowe społecznie siły potrafią się wyzwolić spod presji i dyktatu MRP i poprzeć eksperyment Mendès France'a — o ile tylko pozostanie on wierny swej obietnicy pójścia po drodze społecznego postępu i rzeczywistej obrony interesów i honoru narodu francuskiego. Konferencja londyńska da zapewne odpowiedź czy i w jakiej mierze Mendès-France jest zdolny dotrzymać danego narodowi francuskiemu słowa.

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji Mokotowska 43 tel. 8-60-13 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wielkodrukowe RSW Prasa W-wa [illegible] 3/5
Zam. Nr 2283
5-B 150116

DANUTA PASZKIEWICZ

GOA

DNIA 15 sierpnia patrioci hinduscy, zjednoczeni w oddziałach ochotniczych, rozpoczęli pochód na Goa. W dniu 25 sierpnia wojska portugalskie stacjonujące w pobliżu granicy Diu ostrzelały ochotników hinduskich, którzy weszli na terytorium Diu. Dnia 7 września władze portugalskie podjęły ponownie działania wojskowe przeciwko ochotnikom, którzy zajęli twierdzę Tarekhol w północnym Goa. Wysłano krążownik, który ostrzeliwał twierdzę; pod osłoną ognia wysadzono desant. Żołnierze aresztowali ochotników i zdarli z twierdzy flagę hinduską.

Te i tym podobne wiadomości zamieściła prasa w ubiegłych paru miesiącach. Uwaga światowej opinii publicznej została skierowana na trzy niewielkie plamy na mapie Indii, które Portugalczycy chełpliwie nazywają „Indiami Portugalskimi" lub „Portugalskim imperium zamorskim". Fakt istnienia tej eksklawy kolonialnej na ziemi indyjskiej i wciąż rosnący opór narodów Indii przeciwko kolonializmowi skłoniły ostatecznie rząd Republiki Indyjskiej do zajęcia stanowiska w tej sprawie. Premier Nehru wezwał niedawno rządy w Paryżu i w Lizbonie do podjęcia rozmów w sprawie natychmiastowego wycofania się z Dekanu i przekazania Republice Indyjskiej tych ostatnich pozostałości ekspansji kolonialnej państw europejskich na terytorium Indii. Rozmowy z Francją zostały wprawdzie przerwane 4 czerwca br., ale ruch wyzwoleńczy na terytorium „Indii Francuskich" i żywy sprzeciw patriotów hinduskich zmusiły rząd w Paryżu do przekazania administracji w Mahé i Yanaon w ręce Hindusów. Portugalia natomiast nie zareagowała na to wezwanie ze strony Indii.

*

W epoce, gdy Hiszpania i Portugalia torowały europejskim kolonizatorom nowe drogi na wschód, papież Aleksander VI wspaniałomyślnie podzielił kulę ziemską między dwa filary świata rzymskokatolickiego: Hiszpanię i Portugalię; w roku zaś 1502 nadał królowi portugalskiemu olśniewający tytuł „Władcy żeglugi, zdobywcy Etiopii, Arabii, Persji i Indii". W rzeczywistości jednak Portugalczycy nigdy nie byli władcami Indii, a nawet ich części, opanowali bowiem tylko kilka miast portowych.

Przez długie lata Portugalczycy trudnili się handlem niewolnikami. W Starej Goa znajdował się główny targ niewolników. Ten proceder był tak intratny, że Portugalczycy, osiadli na wybrzeżu, zaczęli chwytać kobiety w miejscowościach oddalonych o setki kilometrów od swoich miejsc zamieszkania i sprzedawać je na targu niewolników. Aczkolwiek formalnie Portugalia proklamowała zniesienie handlu niewolnikami w II połowie XVIII w. (na mocy edyktów z 19.8.1761 i 16.1.1773), to jednak Portugalczycy w Indiach jeszcze dobre sto lat uprawiali zyskowny zawód *raptores puellarum*.

Wskutek korupcyjnej działalności władz oraz w wyniku konkurencji angielskiej w ciągu krótkiego czasu Portugalczycy utracili wszystkie zdobyte ziemie z wyjątkiem nadbrzeżnego pasa długości 5630 km, który ogołocili niemal zupełnie.

Terytorium Goa, zajmujące obecnie 3371 km kw., składa się z dużej liczby wysepek, w większości niezamieszkałych z powodu zbyt małej powierzchni. Chociaż gleba jest niezwykle urodzajna, pod uprawą znajduje się tylko 1/3 powierzchni. Metody uprawy roli są bardzo prymitywne. Ryż zbiera się dwa razy w ciągu roku, ale jego ilość nie wystarcza na pokrycie zapotrzebowania miejscowego. Większość ludności żyje z rybołówstwa. Przemysł niemal nie istnieje. Wywóz ogranicza się do takich płodów rolnych, jak: orzechy kokosowe i produkty drzewa mangowego. Bogactwa kopalne są dotychczas niezbadane.

Daman lub Damao (tak brzmi nazwa portugalska) jest drugą częścią „Indii portugalskich". Powierzchnia jej wynosi 384 km kw., położona jest 60 km na północ od Bombaju. Składa się z kilku osad: Dadra, Paragana, Nagar-Aveli. Ziemia jest urodzajna, ale tylko 1/2 ziemi ornej jest uprawiana. Głównym produktem jest ryż.

Diu jest trzecią częścią posiadłości portugalskich w Indiach. Są to podmokłe i nieurodzajne tereny o powierzchni 52 km kw. rozciągające się na półwyspie Kathiavar, gdzie oprócz zniszczonych gajów palm kokosowych niemal nic nie rośnie. Klimat jest gorący i niezdrowy. Ludność trudni się głównie rybołówstwem.

Ludność Goa, Damao i Diu dzieli się na cztery grupy: pierwszą grupę tworzą potomkowie pierwotnej ludności Marathów; drugą — potomkowie mieszanych małżeństw Marathów i Portugalczyków, którzy z pierwotnymi zobywcami poza brzmieniem nazwisk nie mają nic wspólnego; trzecią — potomkowie Portugalczyków; czwartą — Murzyni przywiezieni tu z portugalskich posiadłości w Afryce.

Godny podkreślenia jest fakt, że katolicy, którzy stanowią połowę ludności (drugą połowę stanowią hinduiści, nie licząc 9 000 muzułmanów) uznają i przestrzegają między sobą różnice kastowe. Mają więc swoich bramanów, kszatrije, szudry itp. Ustrój kastowy był bowiem jedyną instytucją zwyczajową tubylców, której Portugalczycy nie wytrzebili, ale — przeciwnie — istnienie jej popierali. Cel takiego postępowania był zupełnie jasny; chodziło o podzielenie miejscowego społeczeństwa na kilka grup, poróżnienie tych grup i w ten sposób łatwiejsze opanowanie kraju.

Najwyższą władzą w posiadłościach portugalskich w Indiach jest gubernator generalny mianowany przez rząd portugalski. Jest on „protektorem" 638 000 mieszkańców tego karłowatego „państwa". Rada Rządowa, którą ma do pomocy, składa się z 12 osób; 7 członków Rady mianuje gubernator, pozostałych 5 „wybiera" 40 najbogatszych w kraju płatników. Również preliminarz budżetowy opracowywany jest pod kontrolą gubernatora generalnego. Polityka wewnętrzna gubernatora uzależniona jest od doraźnych potrzeb. Jej cel określają wyłącznie interesy faszystowskiego ustroju Portugalii. Typowym przykładem grabieżczej gospodarki państwowej była przeprowadzona pod koniec ubiegłego stulecia akcja sprzedaży ziemi bogatym chłopom. Z chwilą, gdy chłopi złożyli wymagane sumy na zakup ziemi, rząd sprzedał te tereny innym nabywcom. Polityką w dziedzinie handlu wewnętrznego i zagranicznego kieruje Lizbona, nie Goa. Eksport jest niewielki, przywóz znacznie przewyższa wywóz. Bilans handlowy jest ujemny, w r. 1937 wyraził się sumą 13 000 000 rupii, a w r. 1948 sumą 31 000 000 rupii. Polityka eksportowa prowadzona jest przede wszystkim w interesie kapitalistów portugalskich. Na przykład dostawy cukru z Jawy i wyspy Mauritius zostały wstrzymane w tym celu, aby Goa była zmuszona sprowadzać droższy cukier z Mozambiku. Zarobili na tym doskonale wyżsi urzędnicy portugalscy, którzy mają duże udziały w mozambickich spółkach handlowych.

Podatki w „Indiach Portugalskich" wzrastają z roku na rok. Zwiększa się także wysokość opłat celnych. Uzyskane w ten sposób sumy inwestuje się w posiadłości portugalskie w Afryce. W Indiach nadal zupełnie nie wykorzystane są bogactwa kopalne i energia wodna; rolnictwo jest w dalszym ciągu zacofane, a system administrowania niewiele różni się od siedemnastowiecznego ucisku kolonialnego.

Gdy w roku 1932 Antonio de Oliveira Salazar został dyktatorem Portugalii, jego faszystowski reżim wprowadził politykę wrogą wszelkim instytucjom demokratycznym. W koloniach portugalskich w Indiach nie istnieje wolność prasy, wolność słowa i zrzeszania się. Wszelkie wiadomości prasowe podawane są ścisłej cenzurze; wszystko, co jest drukowane — od gazet aż po kalendarze i zawiadomienia o ślubach — musi być zaopatrzone w placet cenzora. Wiadomości polityczne z terenu Republiki Indyjskiej i innych państw niepożądane w oczach administracji kolonialnej są po prostu konfiskowane. Również wszystkie zebrania, zgromadzenia i imprezy sportowe mogą odbywać się jedynie za zgodą władz.

Wszelka działalność polityczna jest zabroniona. Oficjalnie istnieje tylko jedna partia polityczna — jest nią partia faszystowska. Indyjska partia polityczna nosząca nazwę „Narodowego Kongresu Goa" jest przez władze Goa zdelegalizowana i odbywa swoje posiedzenia na terytorium Republiki Indyjskiej. O niezwykłej reakcyjności reżimu świadczy fakt, że w Indiach Portugalskich jest prawie tylu policjantów, ilu mieszkańców.

Na tle tej rzeczywistości jakże obłudne i tragikomiczne wydają się słowa ministra Terytoriów Zamorskich, majora Sarmento Rodrigues, który w przemówieniu wygłoszonym na wiosnę br. z okazji zakończenia III Sesji Komisji Ekspertów do Spraw Polityki Socjalnej w Terytoriach Zamorskich powiedział m. in.: *„Wystarczy porównać słabe podstawy demograficzne Portugalii XVI w. z olbrzymimi obszarami terytoriów zamorskich, żeby przyznać, że konsolidacja tych wielkich terenów i niezniszczalna jedność narodów musiały nastąpić w inny sposób, aniżeli wskutek zastosowania siły. Trzeba poszukać innych racji tego faktu. Przyczyny te znajdujemy w cechach specyficznych systemu portugalskiego. Chrześcijańskie uczucie braterstwa, brak przesądów rasowych, duch posłannictwa przenikający każde działanie władz portugalskich w koloniach — wszystkie te zalety razem sprawiły, że ludność tych terenów jest zasymilowana, a nie podbita, że stała się integralną cząstką narodu portugalskiego, a nie grupą podległą władzy kolonialnej"!* Słowa te w konfrontacji z rzeczywistością są po prostu zwykłym kłamstwem.

Dzisiejsze znaczenie międzynarodowe Goa nie leży ani na płaszczyźnie gospodarczej, ani na płaszczyźnie politykii kolonialnej, ale wypływa wyłącznie ze względów natury strategiczno-politycznej. Leżąca dotąd na uboczu wielkich dróg komunikacyjnych Goa zwróciła na siebie uwagę amerykańskich kół wojskowych jako ważny punkt strategiczny na obszarze budzących się do niezależnego bytu narodowego Indii. I to jest również jednym z powodów, dlaczego Portugalia nie chce wycofać się z Goa.

Świątynia Medu

Łuk wicekrólów

KILKA SŁÓW o filmie

CZY CHAPLIN ZNÓW W ROLI CHARLOT?

Delegacja filmowców hinduskich w drodze na Festiwal Filmowy w Moskwie spędziła kilka dni we Francji. Odwiedziła też ona Charlie Chaplina w jego posiadłości w Vevey w Szwajcarii.

Zapytany o plany na najbliższą przyszłość wielki aktor ujawnił, że przygotowuje obecnie scenariusz, który ma być: „dobrą, starą farsą zgodną z dawnymi tradycjami Charlot". Dodał on również, że: „w najbliższym czasie nie przewiduje nakręcania filmu w poważnym stylu, filmu takiego np. jak „Światła sceny".

„W moim najbliższym filmie — dorzucił Chaplin — Charlot ukaże się ze swym sławnym wąsikiem, ale bez starego ubrania, które kolidowałoby z przygotowywaną przeze mnie obecnie koncepcją filmu".

„PIĄTKA Z ULICY BARSKIEJ" W WIELKIEJ BRYTANII

Film ten, jak wiemy, nagrodzony na festiwalu w Cannes, spotkał się z zainteresowaniem i pozytywnym przyjęciem również Wielkiej Brytanii. Prasa angielska zamieściła ostatnio wypowiedzi recenzentów filmowych, omawiających ten niewątpliwy sukces powojennej kinematografii polskiej. Oceniając robotę reżyserską, grę aktorów i pracę operatorów stwierdza się, że „Piątka" w zupełności zasłużyła na wysokie odznaczenie, jakie zdobyła na festiwalu francuskim, dodając jako konkluzję, że jest to film pełen optymizmu, wiary i nadziei w młodzież polską i przyszłość naszego kraju.

NOWE PREMIERY FILMOWE

Na ekranach naszych ukaże się niebawem (po zakończeniu Festiwalu Filmów Radzieckich) kilka nowych interesujących filmów. Będą to: „Niedaleko Warszawy" — film prod. polskiej, „Awantura o dziecko" — świetna komedia francuska ze znanym komikiem Fernandelem w roli głównej, „Sługa dwóch panów" — sfilmowany radziecki spektakl komedii C. Goldoniego, oraz „Brama nr 6" — obraz prod. chińskiej.

Ponadto — miła wiadomość dla miłośników filmów — pod koniec miesiąca zostaną wznowione dwa arcydzieła oglądane przez nas przed kilku laty: „Hamlet" Laurence'a Oliviera i „Dzieci ulicy" de Siki. Pierwszego listopada rozpocznie się doroczny Festiwal Filmów Polskich.

o plastyce

WYSTAWY W ZSRR

W okresie letnim na terenie całego Związku Radzieckiego zorganizowano wystawy objazdowe. I tak np. moskiewska Galeria Tretiakowska zorganizowała szereg interesujących wystaw, które były otwarte w Kiszyniowie, Swierdłowsku, Rydze, i Kownie. Ze zbiorów Muzeum Sztuk Pięknych A. S. Puszkina — zestawione były dwie wystawy: „Rosyjska grafika 18 i początków 20 wieku" i „Zachodnio-europejska grafika 16 i 19 wieku". Pierwsza z tych wystaw otwarta była w Dniepropietrowsku, Połtawie i Użgorodzie. Druga odwiedziła kolejno Kijów, Kirow i Wołogdę. Państwowe Muzeum Kultur Wschodnich zorganizowało wystawę sztuki chińskiej i przewiozło ją do miasta Mołotow. Poza tym — ze zbiorów Ermitażu zestawiono wystawę, która była po kolei instalowana w Taszkencie, Odessie i Bachczyseraju.

WYSTAWA RZEMIOSŁA ARTYSTYCZNEGO CHIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ

4 października br. otwarto w salach „Zachęty" w Warszawie Wystawę Rzemiosła Artystycznego Chińskiej Republiki Ludowej. Zgromadzone tu zbiory wyrobów ceramicznych, tkanin, rzeźby, wyrobów z laki doskonale obrazują ciekawą linię rozwoju rzemiosła artystycznego w Wolnych Chinach. Wspaniałe, sięgające 4000 lat, tradycje sztuki chińskiej znalazły w Chinach Ludowych świetne warunki rozwoju. Artyści chińscy kontynuując stare tradycje przepełnili je nowymi treściami i tak na przykład widzimy szkatułkę, której kształt i precyzja nawiązują do dawnych stuleci i w ornamencie umieszczony jest picassowski gołąb pokoju. Obok porcelanowych figurek Dziewięciu Mędrców oglądamy bohaterów Wojny Wyzwoleńczej lub współczesnych bohaterów pracy.

Przy każdym niemal eksponacie zastanawia przemyślane i pełne precyzji wykonanie.

NOWE MONUMENTALNE DZIEŁO MAXA SZWABIŃSKIEGO

Znany czeski malarz (specjalista od witrażu i mozaiki prof. Max Szwabiński pracuje obecnie nad nowym, wspaniałym dziełem, mozaiką dla kościoła św. Wita w Pradze. Mozaika ta będzie zdobić kaplicę św. Ludmiła, gdzie już artysta wykonał piękny, barwny witraż „Zesłanie Ducha Świętego" i mozaikę „Chrzest Chrystusa". Nowe dzieło tego artysty ma być dopełnieniem już gotowego wyposażenia wnętrza, które nada kaplicy jedności, stylowy charakter. Zanim powstanie monumentalna, o 10-metrowej wysokości — właściwa mozaika — artysta opracowuje w tej chwili wstępne projekty w dziesięciokrotnym zmniejszeniu.

SZTUKA RELIGIJNA NA WENECKIM BIENNALE

Czasopismo francuskie „Actualité religieuse dans le monde" w numerze z dnia 15 września br. zamieszcza recenzję z weneckiego Biennale dotyczącą sztuki religijnej pokazanej na tej wystawie.

55 dzieł — w tym około 20 obrazów olejnych, 10 rzeźb, kilka rysunków, grafik i akwarel — reprezentuje ten gatunek sztuki. Można je zaliczyć do sztuki religijnej ze względu na temat, jak pisze francuski recenzent, natomiast tylko pewna część z nich powstała pod wpływem głębokiego przeżycia religijnego i zasługuje na miano sztuki prawdziwie katolickiej.

Najciekawsze obrazy zaprezentowali Włosi i Francuzi. Na specjalne wyróżnienie zasługuje wizerunek Chrystusa P. Vecchiati, „Zwiastowanie" Alberto Savinio, „Ucieczka do Egiptu" Rouaulta, oraz „Ukrzyżowanie" Delvaux.

WITRAŻE FERNANDA LEGER

Wybitny przestawiciel francuskiego malarstwa Fernand Leger wykonał w ciągu ostatniego roku cykl składający się z dwudziestu sześciu witraży, mających ozdobić kościół w Courtfalvre (Szwajcaria). Witraże te o powierzchni wynoszącej w niejednym wypadku około 10 m² przedstawiają sceny z Pisma Świętego. Zgromadzone w jednym budynku kościelnym są one ciekawym przykładem zastosowania współczesnego malarstwa w architekturze kościelnej.

o teatrze

SUKCES „JULIUSZA I ETHEL" W MOSKWIE

„Litieraturnaja Gazieta" w numerze z 2 października publikuje obszerną recenzję sztuki L. Kruczkowskiego „Juliuszi Ethel", wystawionej przez Teatr Polski na scenie Państwowego Akademickiego Teatru Małego.

Autorka recenzji — T. Motyljewa pisze m. in.: — Sztuka „Juliusz i Ethel" wywarła na widzach moskiewskich głębokie i niezatarte wrażenie. — Podkreślając wielką siłę, z jaką L. Kruczkowski demaskuje w swojej sztuce barbarzyństwo burżuazyjnej praworządności i ukazuje hart ducha i wielkość serca prostych ludzi walczących o pokój, T. Motyljewa stwierdza: — Dzieło Leona Kruczkowskiego jest wyrazem rozwoju literatury polskiej i teatru polskiego w latach władzy ludowej. Przedstawienie „Juliusza i Ethel" stanowi wielkie zwycięstwo realizmu socjalistycznego w sztuce polskiej. Chwała tego zwycięstwa przypada w równej mierze Leonowi Kruczkowskiemu — autorowi tragedii, jak i reżyserowi Aleksandrowi Bardiniemu oraz całemu zespołowi aktorskiemu Teatru Polskiego.

CZESKIE PREMIERY

Pisaliśmy niedawno o premierze ibsenowskiego „Peer Gynta" w teatrze w Kładnie. Obecnie możemy wymienić kilka dalszych premier — dających jeszcze jeden dowód szerokości „wachlarza" repertuarowego u naszych przyjaciół. Teatr w Libierzycach wystawił ostatnio znaną operę Ryszarda Wagnera: „Tannhäuser". Poetycka baśń — będąca jednym z najpiękniejszych dzieł niemieckiego kompozytora — otrzymała staranne opracowanie scenograficzne, choreograficzne i reżyserskie. Poprzez świetną, wyrównaną grę i piękny śpiew: J. Malika (rola tytułowa), A. Klimy (Herman), V. Zoucharа (Wolfram) i J. Wysoczanskiej w roli Elżbiety — przedstawienie przekazało widzom cały liryzm baśni — nie tracąc zarazem jej dramatycznej wymowy i sugestywności.

Z innych premier — wymienić należy: przede wszystkim „Wachlarz lady Windermere" O. Wilde, a wystawiony przez teatr w czeskich Cieplicach.

W MOSKIEWSKIM TEATRZE IM. WACHTANGOWA

nowy sezon zapoczątkował przedstawienie „Czajki" Czechowa. W próbach jest „Człowiek z karabinem" Pogodina, którego prapremiera odbyła się przed 17 laty w tymże teatrze. Sztukę inscenizuje R. Simonow, postać Lenina opracowują N. Płotnikow i W. Pokrowskij. Rolę tytułową powierzono, jak na prapremierze, J. Tołczanowowi, Czibisowa gra N. Gricenko. Obydwie sztuki ujrzymy w tych dniach i w Polsce: „Czajkę" przygotowuje Teatr im. Jaracza w Łodzi, „Człowieka z karabinem" — warszawski Teatr Narodowy.

o wszystkim

CENNY DAR DLA RADZIECKICH ARTYSTÓW

„Sowietskaja Kultura" w jednym z ostatnich numerów opublikowała list artystów „Comedie Française", którzy przebywali na gościnnych występach w ZSRR. List ten był skierowany do dyrektora i członków ekipy baletu rosyjskiego i zawierał podziękowanie za niezwykle braterskie i gościnne przyjęcie z jakim spotkali się artyści francuscy w Moskwie i Leningradzie. W dowód wdzięczności i przyjaźni artyści francuscy przekazali artystom radzieckim dwa cenne płótna pochodzące ze szkoły francuskiej.

III OGÓLNOPOLSKI KONKURS ŚPIEWACZY

Dla uczczenia X-lecia Polski Ludowej Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło III Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy. Celem konkursu jest dalsze upowszechnienie i podniesienie kultury śpiewaczej w Polsce oraz wykrycie nowych talentów muzycznych spośród młodzieży miast i wsi.

Ma on również na celu należyte przygotowanie śpiewaków-solistów do udziału w Międzynarodowym Konkursie, jaki odbędzie się w Warszawie w lipcu 1955 r. podczas V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów.

Konkurs przeprowadzony zostanie w 3 kategoriach: artystów zawodowych, uczącej się młodzieży (soliści i małe zespoły wokalne) oraz amatorów (oddzielną grupę stanowić będą śpiewacy ludowi).

III Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy poprzedzą eliminacje wojewódzkie — co stanowi jego nowość. Eliminacje wojewódzkie odbędą się w styczniu 1955 r. Artyści zawodowi nie podlegają eliminacjom wojewódzkim. Natomiast eliminacje centralne odbędą się w kwietniu przyszłego roku w Warszawie.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Pół czarnej

Była kawa w „Europejskiej"
i „Pamiętasz tę noc" i „Pozdrowienie",
a kelnerzy o twarzach znudzonych
podawali na tacach bezy z kremem —
i była mokka, sok i oranżada
i melodie kapiące na asfalt —
i kobiety z lśniącego nylonu
i dorożki przed wejściem do „Watry"
a nad kawiarnią były Tatry
a nad Tatrami były gwiazdy
a te gwiazdy w przepaści zanurzone po włosy
i zielone przewiewy dolinami
i anielskie, niewypowiedziane głosy
i jeziora głębokie jak aksamit.

. . . . . .

więc frunęli kelnerzy kominami
i pofrunął szatny z „Europejskiej"
poleciały kociaki i durnie
w straszną głębię nad Zamarłą Turnią
a lecąc cieniutko śpiewali
że pamiętna ta noc, ach, że ostatnia
że na dole zostały rachunki
i niezapłacona szatnia.

. . . . . .

no i poszli. Zniknęli przecudnie.
Dokładnie o wpół do siódmej.

rys. Teresa Stankiewicz